Antologia Laboratorium Empatii. Zeszyt pierwszy. Teksty ze strony https://www.facebook.com/Laboratorium-Empatii-1857119047639998/

Radek Wiśniewski Paweł Kozioł Doro Przemek Rojek Janusz Radwański Agata Zuzanna Jabłońska Elżbieta Lipińska Artur Nowaczewski Przemek Rojek Jakub Sajkowski

Antologia Laboratorium Empatii. Zeszyt pierwszy. Teksty ze strony https://www.facebook.com/Laboratorium-Empatii-1857119047639998/

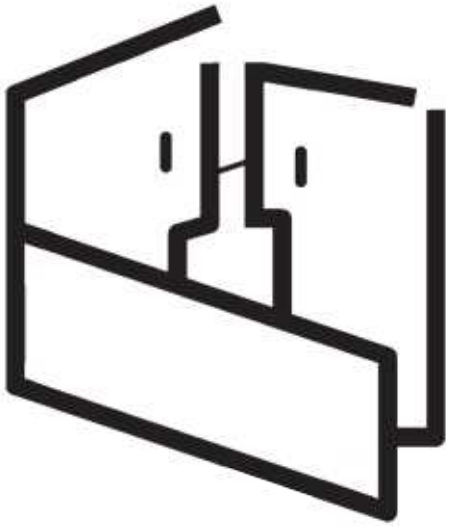

Spis treści

Radek Wiśniewski, *Empatia*....3
Paweł Kozioł, *Bajka o chłopcu i dobrym maharadży*....4
Doro, *Między niebem a piekłem*....6
Radek Wiśniewski, *Small nations might be free*....10
Przemek Rojek, *Cisza. Dzwon. Cisza. Jeszcze o Bałtach*....13
Janusz Radwański, *Święty człowiek*....18
Paweł Kozioł, *Mosze Mieczysław Miguel*....21
Radek Wiśniewski, *The day after*....24
Agata Zuzanna Jabłońska, *Mistycy i narkomani*....27
Elżbieta Lipińska, Radosław Wiśniewski, *Nikt nie jest nieomylny*....29
Artur Nowaczewski, *Rodion G.A. Lost tapes*....31
Radek Wiśniewski, *Pamiętając Hołodomor. Ballada o dzielnym Walijczyku*....34
Przemek Rojek, *Hołodomor, którego nie było. Świadek, którego nie spotkał Gareth Jones*....40
Radek Wiśniewski, *Jak co roku nie wiem, co powiedzieć*....43
Jakub Sajkowski, *Mosty z jedawbiu, tamy z jedwabiu*....45
Janusz Radwański, *Jeszcze się uśmiechniecie*....48

Antologia Laboratorium Empatii
Zeszyt pierwszy
Wybór tekstów ze strony
https://www.facebook.com/Laboratorium-Empatii-1857119047639998/

© by autorzy i autorki
Skład: Paweł Kozioł
kwiecień 2020

Naszą Antologię udostępniamy bezpłatnie, aby mogła dotrzeć do wszystkich, którzy chcieliby ją przeczytać. Jednocześnie bardzo prosimy osoby, które to poczują - o wparcie Domu Otwartego, wspaniałej oddolnej inicjatywy, która pomaga uchodźcom w Polsce i nie tylko. Dla nas to bardzo ważne, aby w tym trudnym dla wszystkich czasie nie zapominać o osobach z doświadczeniem uchodźczym. Sytuacja w przepełnionych obozach jest tragiczna, ale również Ci, którzy znaleźli schronienie w Polsce, borykają się z wieloma problemami - brakiem pracy, mieszkania, żywności, lekarstw. Nie bądźmy obojętni!

https://pomagam.pl/domotwarty

Zespół Laboratorium Empatii

Radek Wiśniewski

Empatia

Empatia, szczególnie w kontekście historycznym, porzuca złudzenie neutralności, równego dystansu, drogi środka i zarazem – chociaż wydaje się to niemożliwe – nie dryfuje w stronę żadnego z biegunów politycznych, prawego, czy lewego. Powołując się w sposób bardzo ogólny na prawa antropologii przestrzennej Victora Frankla, można powiedzieć, że empatia wprowadza trzeci wymiar do dwuwymiarowego sporu. Frankl, tocząc zupełnie inny spór w obrębie psychologii i antropologii, w prosty sposób pokazał jak redukując formę przestrzenną – np. kulę lub stożek, do figury (lub figur) dwuwymiarowych uzyskujemy sprzeczne lub zadziwiająco zgodne obrazy tego samego przedmiotu. Stosując tę analogię do empatii w kontekście zaangażowania literackiego, trzeba byłoby powiedzieć, że nie jest ani lewicowa, ani prawicowa, bo pomimo żarliwego zaangażowania nie gra w tę grę, jaką próbują jej narzucić ideologie i jej literackie mutacje. Empatia pracuje na zupełnie innym planie niż ideologie, które zawsze będą miały tendencje do redukowania jednostkowości, niepowtarzalności. Tu jest źródło niepodległości gestu – literackiego, poetyckiego – zakotwiczenie w tym, co jednostkowe. Tylko to pozwala skutecznie detonować przed czasem próby manipulacji, zawłaszczenia pojedynczego śpiewu, lamentu, inkorporowania go do wycia hordy.

Empatia podpowiada, że nie będąc zideologizowanym, nie można być neutralnym, jeżeli chce się współodczuwać, być obok, być razem. To koniec tego złudzenia, bowiem neutralność w przypadku znaczącej przewagi jednej strony nad drugą, oznacza sprzyjanie stronie silniejszej, najczęściej sprawcy. Nie da się być bezstronnym sędzią w konflikcie między aparatem państwa wyposażonym w artylerię na gąsienicach, a samotnym demonstrantem. I przypomina ci się obraz Tankmana, samotnego Chińczyka próbującego zatrzymać kolumnę czołgów jadącą w okolice Tiananmen w Pekinie, rankiem 5 czerwca 1989 roku. Neutralność kazałaby ci mediować między tą kolumną czołgów a jego wątłym, chińskim ciałem. Empatia każe ci stanąć, chociażby duchowo, aksjologicznie, bez reszty po stronie samotnego człowieka stawiającego czoła czołgom.

Empatia ponadto ma tę zaletę, że wyprowadza poza konkretne konteksty historyczne. W tej perspektywie musi się znaleźć miejsce dla każdego, czyja jednostkowość jest negowana. Nie ma miejsca na żadną elitarność, ekskluzywność, wyjątkowość. W tym sensie jest bardzo egalitarna. Jeżeli ma pracować dla przyszłych pokoleń i dla wszystkich ludzi, musi dokonywać projekcji w czasie i przestrzeni, w poprzek czasów i miejsc, docierać tam, gdzie rzekomo nigdy jej nie było. U źródeł tak rozumianego zaangażowania są prawa człowieka. Niezbywalne, powszechne, nienaruszalne, niepodzielne, naturalne oraz mające charakter wynikający z przyrodzonej godności ludzkiej. Tylko ofiary się nie mylą. Ich ciała, które czują ból, strach, lęk i ulgę, nie przyjmują uczonych koncepcji, w myśl których ciała Rosjan nie zasługują na ochronę przed torturami, bo demokracji to w Rosji było wszystkiego pół roku w ciągu kilku wieków. Na przykład. Bo przecież empatia to transgresja, nieustanne przekraczanie barier i granic, ruch.

Radek Wiśniewski

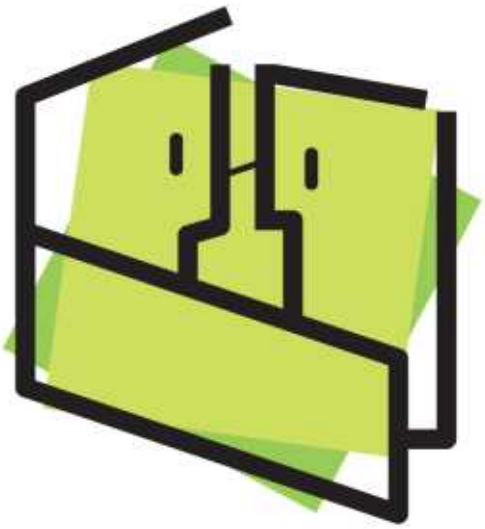

Na początku niech będzie chłopak, dziesięcio- albo dwunastoletni, w każdym razie w wieku w sam raz na czytanie powieści przygodowych. Wraz z grupą podobnych sobie polskich sierot wysiada on z pociągu gdzieś w Indiach, w miejscu, którego nazwa jeszcze nic mu nie mówi. Mają tam zamieszkać, powstające osiedle znajduje się kilkaset metrów od stacji, a że dzieciaki są wymizerowane, noszeniem bagaży zajmuje się kto inny – indyjscy tragarze, którymi komenderuje oficer jak z obrazka ilustrującego którąś z powieści przygodowych czytanych przez chłopca: w mundurze zapiętym pod szyję, w korkowym hełmie i z trzcinką. Obrazek nie był przesadnie sielski: tragarze co chwilę spluwali na ziemię czerwoną śliną. Chłopak od razu pomyślał o złym imperium kolonialnym, którego wyzyskiwani słudzy plują krwią, a potem przypomniał sobie, że jest jeszcze coś, co barwi ślinę na czerwono – betel, takie coś do żucia złożone z liścia jednej rośliny i orzechów drugiej. Jednym słowem używka. Obraz złego imperium wyblakł, cofnął się (bo nie napiszę przecież, że znikł był zupełnie, na to trzeba poczekać co najmniej do roku 1947, a może i do nigdy, bo kolonie stają się po prostu byłymi koloniami).

Chłopak nazywał się Jan Siedlecki, a jego wspomnienia można wysłuchać na jednym z filmików wyprodukowanych przez Muzeum Historii Polski (https://www.youtube.com/watch?v=7aVD_bVhaBM). Miał szczęście, i to chyba wielokrotne: że w jakiś sposób dotarł w rejon, gdzie organizowała się armia Andersa; że w roku 1942 zmieścił się w harmonogramie ewakuacji ze Związku Radzieckiego (a harmonogram nie był z gumy, ograniczały go racje żywnościowe, przyznawane według stanu żołnierzy, a nie towarzyszących wojsku cywilów). Że był fizycznie w na tyle dobrym stanie, by nie wykończył go – jak się zdarzało – pierwszy normalny posiłek po przekroczeniu granicy z Iranem…

To są historie na inny raz. Opowiadałem je, pracując w Muzeum Historii Polski, tej nie, natomiast brałem ją sobie za wzór. Historia opowiedziana została pod tym linkiem https://artsandculture.google.com/exhibit/FQKCQq9LDKemIg i traktuje o polskich dzieciach – uchodźcach, którymi zaopiekował się maharadża indyjskiego księstwa Nawanagar, Digvijaysinhji Ranjitsinhji (1895–1966). Postać – przyznaję się –

kompletnie dla mnie enigmatyczna. Siostrzeniec utracjusza i wielkiej gwiazdy krykieta, zawodnika zwanego w skrócie Ranji, o ego i charakterze takim, jakby wziąć najbardziej szalonego z amerykańskich koszykarzy, dodać mu pakiet długów i arystokratyczny tytuł. Władcą był chyba rozważniejszym niż wuj. Działał w Lidze Narodów, a potem w ONZ, w czasie II wojny światowej należał do iluś brytyjskich ciał doradczych, po uzyskaniu przez Indie niepodległości odnalazł się w roli „zaledwie wysokiego urzędnika". Żadnemu jednak z tych powodów do chwały nie zawdzięcza faktu, że na warszawskich Szczęśliwicach jest skwer imienia Dobrego Maharadży.

Zasługa ta wiąże się z dziećmi takimi jak Jan Siedlecki (a także, między innymi, przyszli pisarze: Wanda Irena Bieńkowska i Jerzy Krzysztoń). W roku 1942 maharadża zorganizował dla nich, uchodźców z ZSRR, obóz w Balachadi, właściwie prawie miasteczko. Przez trzy lata dzieci doszły do siebie, a potem rozjechały się po świecie. I łatwo jest napisać „doszły do siebie". Skala osiągnięcia okazuje się jasna dopiero kiedy ogląda się ich zdjęcia – zapadłe piersi, wychudłe kończyny, niekiedy brak palców straconych wskutek odmrożeń. Jeżeli Digvijaysinhji Ranjitsinhji nie uratował ich, jeżeli ten zaszczyt tradycyjnie przypisujemy generałowi Andersowi (a równie dobrze, nie umniejszając jego zasług, można go przypisywać szczęściu: że w ogóle te dzieci do Andersa zdążyły), to i tak można powiedzieć, że zapewnił im w życiu drugi start.

Z tego, co do nich mówił, wynika, że opiekę postrzegał jako obowiązek: skoro na mojej ziemi są sieroty, to muszę być dla nich ojcem. Bez żadnych dodatkowych oczekiwań choćby na temat, przepraszam za współczesne słowo, integracji (ta, jeśli zachodziła, to głównie przez harcerstwo – fantastyczną historię o tym opowiada Danuta Pniewska na tym filmiku, od 5:20: https://www.youtube.com/watch?v=7aVD_bVhaBM, dzieci tam krzyczą razem z podróżującymi na wiec Hindusami i ku ich wielkiemu zdziwieniu, że biali też tak mogą „English go home").

Puenty nie będzie. Bo z pozytywnymi historiami jest tak jakoś, że bardziej otwierają się na różne kontynuacje. Puentować musiałbym opowieść o nieocalonych, tę mogę po prostu zostawić taką, jak jest.

Paweł Kozioł

Doro Między niebem a piekłem

„Świat zostanie zniszczony nie przez tych, którzy czynią zło, ale przez tych, którzy na nie patrzą i nic nie robią."
(Albert Einstein)

Morze Egejskie. Pierwsze dni marca 2020. Pięcioletni Sido Qassem razem z mamą i innymi uchodźcami zmierza na pontonie w stronę greckich plaż. Straż przybrzeżna zmusza ich do zawrócenia, wkrótce potem ponton się przewraca, chłopiec tonie…

Sido pochodził z wioski Kakhir, kanton Efrin. 20 stycznia 2018 roku armia turecka i współpracujący z nią dżihadyści dokonują ataku na Efrin, zmuszając do migracji tysiące ludzi…

Na greckiej wyspie Lesbos jest wiele dziecięcych mogił. W ciągu 6 lat na Morzu Śródziemnym utonęło lub zaginęło 19 tysięcy uciekających przed wojną, prześladowaniem, nędzą osób.

Odkąd Turcja pod koniec lutego tego roku otworzyła granicę, w stronę UE zmierzają tysiące uchodźców. Na granicy turecko-syryjskiej oczekuje kolejny milion z objętego wojną Idlibu. Sytuacja jest tragiczna.

Grecka straż graniczna stosuje środki niezgodne z przepisami UE oraz międzynarodowymi paktami i standardami dotyczącymi praw człowieka - broń palną, gaz łzawiący, armatki wodne, granaty dymne. To samo robią Turcy, którzy autobusami zwożą ludzi do granicy z Grecją i Bułgarią, a potem zamykają im drogę odwrotu. Świat obiegają filmy, na których widać, jak Turcy „poganiają" uchodźców strzałami z granatów dymnych i gazem.

Na Lesbos faszystowskie bojówki zatrzymują łodzie i pontony, nie pozwalają ludziom wyjść na ląd. Blokowane są drogi do znajdującego się pośrodku wyspy obozu Moria. Ofiarą padają również pracownicy organizacji pozarządowych, wolontariusze są zastraszani i bici. Wielu z nich wyjechało do Aten. Na Lesbos zjeżdżają członkowie skrajnych prawicowych ugrupowań z całej Europy.

Sytuacja w obozach jest równie trudna. W obozie Moria, który był przystosowany do przyjęcia 3 tysięcy osób, już teraz przebywa około 20 tysięcy, z czego 40 procent to dzieci, w większości sieroty. Ludzie chronią się w zapleśniałych, rozbitych w błocie namiotach. Dochodzi do aktów przemocy, deprawacji, porwań.

Brakuje opieki medycznej i pożywienia. Nie ma ciepłej wody, a warunki sanitarne są poniżej jakichkolwiek standardów.

Parę dni temu został spalony zamknięty niedawno obóz przejściowy Skala Sikamineas.

Ci, którzy utknęli na granicach, przebywają na otwartej przestrzeni, śpią na ziemi, a jedynym ich okryciem są często cienkie koce. Noce są zimne, a pomoc nie dochodzi.

3 marca Ateny ogłosiły, że zawieszają na miesiąc przyjmowanie wniosków o azyl, co jest niezgodne z prawem unijnym i międzynarodowym.

RECEP TAYYIP ERDOĞAN

Dla Erdoğana uchodźcy to jedynie karta przetargowa. Prezydent Turcji wiele razy mówił, że wbrew podpisanemu w 2016 roku porozumieniu z UE, otworzy granicę i zaleje Europę migrantami.

W Turcji żyje 3,7 mln uchodźców. Kolejny milion czeka na granicy.

Erdoğan chce uznania przez Europę jego militarnej interwencji w syryjskiej prowincji Idlib.

Jest jeszcze sprawa Rojavy. 9 października 2019 roku Autonomiczna Administracja Północnej i Wschodniej Syrii (Rojava) została brutalnie zaatakowana przez Tureckie Siły Zbrojne. Operacja miała nazwę „Źródło pokoju", ale była jedynie źródłem hańby.

Wcześniej z Rojavy wycofali się Amerykanie. Kurdowie kolejny raz zostali zdradzeni przez sojuszników i pozostawieni sami sobie. W walkach z ISIS zginęły tysiące bojowników i bojowniczek kurdyjskich. Dzięki nim ofensywa Państwa Islamskiego została powstrzymana, a Europa prawdopodobnie uratowana przed zamachami terrorystycznymi.

Turcja próbowała utopić we krwi piękną, demokratyczną, feministyczną, ekologiczną rewolucję na Bliskim Wschodzie i zagarnąć ziemię na północy Syrii. Tutaj też pojawiła się karta przetargowa w postaci uchodźców. Erdoğan ogłosił, iż chce utworzenia ciągnącej się na szerokość 30 km strefy buforowej, usunięcia z jej terenów rdzennych

mieszkańców, a także ludzi, którzy uciekając przed wojną, osiedlili się na jej terenie i umieszczenia tam przebywających w Turcji uchodźców. Próbował i nadal próbuje dokonać czystki etnicznej. Wspiera terrorystów z Daesh. Zmusza setki tysięcy ludzi do ucieczki. Ale nie ma już gdzie uciekać. Na pustyni grozi śmierć, granica syryjsko-iracka jest przytkana. W wyniku tureckiej agresji w 2018 (Efrin) i później, w 2019 roku, około 250 tysięcy ludzi straciło dach nad głową, tysiące zostało rannych, około dwóch tysięcy straciło życie.

25 lutego belgijski dziennikarz ujawnił treść umowy pomiędzy Rojavą a UE. Erdoğan zrobi wszystko, aby po- wstrzymać jej podpisanie. Umowa dotyczy m.in. pocho- dzących z krajów europejskich terrorystów i terrorystek z ISIS (Daesh), pozostających w rękach Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF) oraz ich dzieci, otwarcia kanałów dyplomatycznych między krajami UE a Rojavą.

Nie można wykluczyć, że była to główna przyczyna ostatnich wydarzeń - „wypychania" uchodźców z granic Turcji i wywierania nacisków na UE.

Jesteśmy świadkami cynicznej gry wielkich mocarstw, które kosztem życia ludności cywilnej walczą o wpływy i ziemię w regionie. Rosja wspiera syryjski reżim, a po cichu układa się z tureckim przywódcą. Życie milionów ofiar tego konfliktu nie ma dla nich żadnego znaczenia.

KUPMY SPOKÓJ, ODWRÓĆMY OCZY

6 mld euro - tyle Europę kosztowało „kupienie" w 2016 roku spokoju i scedowanie na Turcję odpowiedzialności za uchodźców. Na mocy podpisanej umowy Turcja obiecała uszczelnienie granic i przyjmowanie odsyłanych z Grecji ludzi. Przez pięć lat trwania kryzysu UE nie zrobiła praktycznie nic, aby go rozwiązać. Nie wypracowano nowych procedur migracyjnych. 40 tysięcy uchodźców utknęło na greckich wyspach. Ci, co pozostali na terenie Turcji, narażeni są na ogrom cierpienia i życie w nieludzkich warunkach i nieludzkie traktowanie.

Za obecną sytuację na granicy turecko-unijnej odpowiadają ci, którzy nakręcają konflikt na Bliskim

Wschodzie, głównie Turcja, Rosja, Iran, ale UE nie jest bez winy. Kraje Grupy Wyszehradzkiej, w tym także Polska, doprowadziły do porażki unijnego planu kwotowego przyjmowania migrantów. Politycy państw unijnych, zamiast wezwać do solidarności, podobnie jak Erdoğan „grają" uchodźcami i kosztem ich życia próbują zbijać kapitał polityczny. Widzieliśmy to wyraźnie w 2015 roku podczas wyborów prezydenckich w Polsce. Radykalizacja języka, retoryka antyuchodźcza, podsycanie negatywnych nastrojów społecznych, nieuzasadnionych lęków, wpłynęły na opinię publiczną i na wzrost liczby przestępstw na tle rasistowskim, pobić, nawoływań do przemocy i nienawiści. Niestety, szykuje nam się powtórka. Do historii przejdzie wypowiedź Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na temat obecnej sytuacji. Mówienie o uchodźcach w kategoriach zagrożenia to przygotowywanie gruntu dla rasizmu. PO pamięta swoją porażkę w ostatnich wyborach i próbuje stosować uderzającą w człowieka retorykę swojego oponenta, co jest wręcz haniebne.

NIE BĄDŹMY OBOJĘTNI

Stoimy u progu wielkiego kryzysu migracyjnego i humanitarnego. Potrzebne są szybkie działania. Nie możemy zamykać granic. Ubieganie się o azyl jest prawem każdego człowieka. Europa powinna stworzyć korytarze humanitarne i wrócić do pomysłu relokacji. Na szantaż i groźby Erdoğana musimy odpowiedzieć międzynarodową solidarnością. Tylko wspólne i skoordynowane działanie pozwoli uniknąć kolejnego kryzysu.

Nie pozwólmy, aby czyjekolwiek życie było kartą przetargową w rozgrywkach politycznych, aby kolejny raz politycy wykorzystali temat uchodźców do zbijania kapitału politycznego i zdobywania elektoratu, nie poddajmy się manipulacji.

Pamiętajmy, że największymi ofiarami wojen są bezbronni cywile. Dla rządów, które kierują się zimną kalkulacją, życie ludzkie jest bez znaczenia. Byliśmy świadkami niszczenia całych państw, cierpienia milionów ludzi w imię interesów wąskiej grupy. I nie miejmy złudzeń, że nasze życie ma większe znaczenie.

Brama do Europy miała być bramą do lepszego, bezpieczniejszego świata. Dla wielu okazała się bramą do piekieł.

Przyzwolenie na wojny – zabija.

Brak polityki migracyjnej – zabija.

Zamknięcie granic – zabija.

Obojętność – zabija.

Doro

(źródła i autorzy zdjęć: AFP, Al Jazeera, ArisMessinis, Hasam Salem, Marios Lolos, Belal Khaled, The Day, AP)

Naszą Antologię udostępniamy bezpłatnie, aby mogła dotrzeć do wszystkich, którzy chcieliby ją przeczytać. Jednocześnie bardzo prosimy osoby, które to poczują - o wparcie Domu Otwartego, wspaniałej oddolnej inicjatywy, która pomaga uchodźcom w Polsce i nie tylko. Dla nas to bardzo ważne, aby w tym trudnym dla wszystkich czasie nie zapominać o osobach z doświadczeniem uchodźczym. Sytuacja w przepełnionych obozach jest tragiczna, ale również Ci, którzy znaleźli schronienie w Polsce, borykają się z wieloma problemami - brakiem pracy, mieszkania, żywności, lekarstw. Nie bądźmy obojętni!

https://pomagam.pl/domotwarty

Zespół Laboratorium Empatii

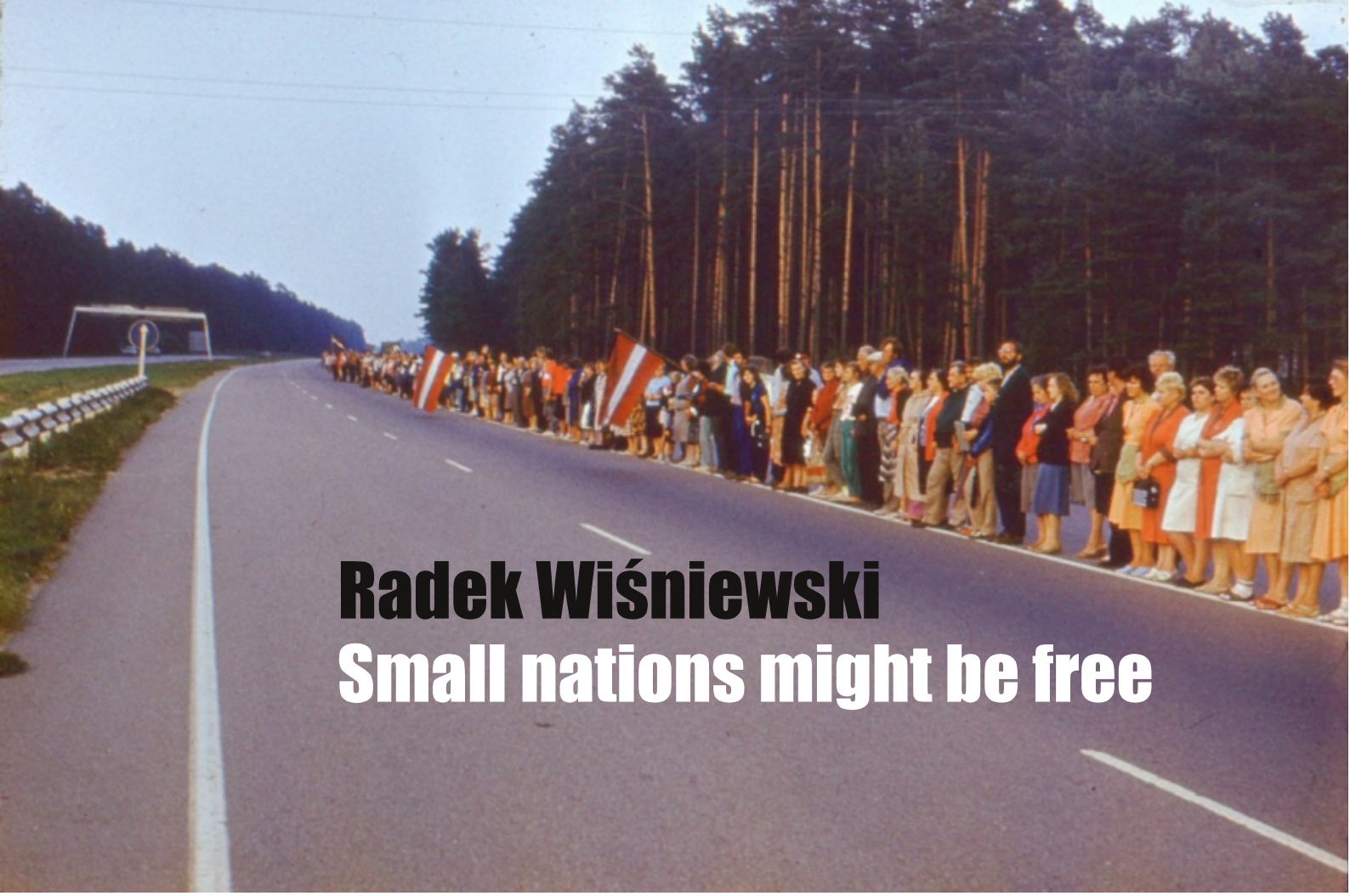

Radek Wiśniewski
Small nations might be free

W resztce cygara mdłym ogniku
Pływała Lwa Albionu twarz
Nie rozmawiajmy o Bałtyku!
Po co w Europie tyle państw?
Polacy? Chodzi tylko o to
Żeby gdzieś w końcu mogli żyć!
Z tą Polską zawsze są kłopoty
Kaleka troszczy się i drży
Lecz uspokaja ich gospodarz
Pożółkły dłonią głaszcząc wąs
Mój kraj pomocną dłoń im poda
Potem, niech rządzą się, jak chcą

(Jacek Kaczmarski, *Jałta*)

Baszta Gedymina, tak jak wiele zabytków w Wilnie, nie robiła na mnie imponującego wrażenia, szczególnie, że widać było, od którego miejsca była sztukowana zupełnie współczesnymi cegłami. Z jej szczytu widać było replikę, czy może raczej makietę zamku Wielkich Książąt Litewskich postawioną na stalowej konstrukcji ponad fundamentami oryginału.

Poszliśmy zobaczyć panoramę miasta z baszty bo coś trzeba było robić przez kilka zimnych dni, kiedy samo spacerowanie po starówce było nieco uciążliwe. Idąc po schodach do platformy widokowej zaglądaliśmy do ekspozycji na poszczególnych piętrach. W jednej z sal stały telewizory. Na ich ekranach widać było urywki materiałów filmowych, na oko z czasów schyłku mojego dzieciństwa, pokazujących ludzi trzymających się za ręce, stojących w łańcuchu, który zdawał się nie mieć końca. Kamera z okna samochodu, kamera z helikoptera pokazywała szpaler ludzi stojący wzdłuż dróg, ich samochody, rozczulające łady żiguli, moskwicze na poboczach, autobusy. I ludzie stali, czasem w gęstszym tłumie, a czasem w pojedynczym rzędzie, na wyciągnięcie ramion. Co jakiś czas powtarzał się kadr z ludźmi podrywającymi nagle złączone dłonie do góry.

Na ścianie obok sporych rozmiarów mapa wszystkich trzech państw bałtyckich, jeszcze jako republik ZSRR z zaznaczoną linią od Wilna przez Rygę do Tallina.

Wszedłem do tej sali i nie mogłem wyjść, bo okazało się, że coś niezwykłego umknęło mi w życiu sprzed oczu. W 1989 roku miałem 15 lat, pamiętam wiele, ale wydarzenie nazwane „Baltic way" zupełnie w dla mnie nie istniało. Odtwarzałem więc co wydarzyło się wtedy w trzech krajach bałtyckich, których nie było na mapie.

Otóż w ramach gorbaczowowskiej głasnosti ujawniono tajny protokół do Paktu Ribbentrop-Mołotow, a ściślej przyznano, że istniał oficjalnie. Bo co znaczył ten pakt, wszyscy rozumni ludzie wiedzieli, nawet ja, mając 15 lat, nie ucząc się o tym w szkole, tylko czytając podziemne wydawnictwa z „Nowej". Być może to dało impuls ruchom niepodległościowym w krajach bałtyckich, żeby coś zrobić. Pomysłodawcą wielkiej demonstracji mającej pokazać wolę i siłę w dążeniu do pełnej niepodległości maleńkich krajów był jeden z przywódców estońskiego ruchu niepodległościowego Edgar Savisaar. Propaganda ZSRR przedstawiała działaczy niepodległościowych jako ekstremistów i terrorystów, dlatego chodziło o wydarzenie, które pokazałoby całkowicie pokojowy charakter tego ruchu. Ostateczną decyzję o organizacji ludzkiego łańcucha podjęto 12 sierpnia, na 11 dni przed 50 rocznicą zawarcia niesławnego paktu między III Rzeszą a ZSRR. Planowanie wymagało wyliczenia, ilu ludzi musi stanąć w takim łańcuchu minimum na każdy kilometr drogi, organizacji dowozu, rozpropagowania informacji i realizacji. Władze ZSRR nie przeciwdziałały, bo nikt w centralnym komitecie nie wierzył w powodzenie tego planu. Ustawienie ludzi w nieprzerwanym łańcuchu 600 kilometrów w czasach, kiedy w nie każdym domu był telefon stacjonarny i nie zawsze działał, w ciągu 11 dni – to się nie mogło udać.

Tymczasem 23 sierpnia 1989 roku zapełnił się każdy metr drogi z Wilna, z placu katedralnego do Tallina. Według różnych obliczeń solidarnie w ludzkim łańcuchu stanęło od miliona do dwóch milionów Litwinów, Łotyszy i Estończyków, co oznacza, że bezpośredni udział w demonstracji wziął mniej więcej co czwarty mieszkaniec republik bałtyckich. To dało piorunujący efekt „policzenia się", dało niezwykły efekt demontujący sowiecką propagandę, bo jeden obraz niekończącego się łańcucha ludzi, którzy punktualnie o 19:00 na kwadrans podnieśli połączone ręce wzdłuż całej 600 kilometrowej trasy znaczył więcej. I nie trzeba było go tłumaczyć, ani objaśniać. To był gest siły,

determinacji i wiary, który nie dał się wymazać. Ci ludzie chcieli być wolni i pokazali, że nie ustąpią. I wiedzieli już ilu ich jest. To był początek, nowy rozdział ich historii, która nie dała się już zatrzymać. We the people.

Oczywiście krew jeszcze się polała, ale nie tym razem.

"Baltic way" był wpisany do Księgi Rekordów Guinnessa w latach 1989-2004 jako najdłuższy łańcuch ludzki, zdeklasował go dopiero „łańcuch bengalski" w roku 2004. „Baltic way" jest też od 2009 roku wpisany do rejestru UNESCO „Pamięć świata".

Wychodziłem z baszty Gedymina poruszony w tej samej mierze siłą wyrazu tego wydarzenia, co i tym, że będąc w roku 1989 dosyć świadomym młodym człowiekiem, przez 30 lat nie wiedziałem nic o tym, co zrobili Bałtowie. Pamiętam zdjęcia spod wieży telewizyjnej w Wilnie, pamiętam sowieckie czołgi naprzeciwko tłumu pokojowych obrońców, ale początek bałtyckiej drogi do wolności, do powiedzenia „nie" paktowi Ribbentrop-Mołotow, zupełnie umknął mojej uwadze. A przecież to dotyczyło sąsiadów, społeczności zaraz obok nas. Nielicznej, małej, zepchniętej na margines dziejów, która pokazała siłę i odwagę. I było mi trochę wstyd, że musiałem w wieku ponad 40 lat pojechać do Wilna, żeby odcyfrować historię „Baltic way", co można tłumaczyć jako „bałtycki łańcuch", ale mnie jakoś bardziej pasuje „bałtycka droga" w rozumieniu sposobu, metody, na jaką wpadli Bałtowie.

Mohandas Ghandi byłby z nich dumny.

Radek Wiśniewski

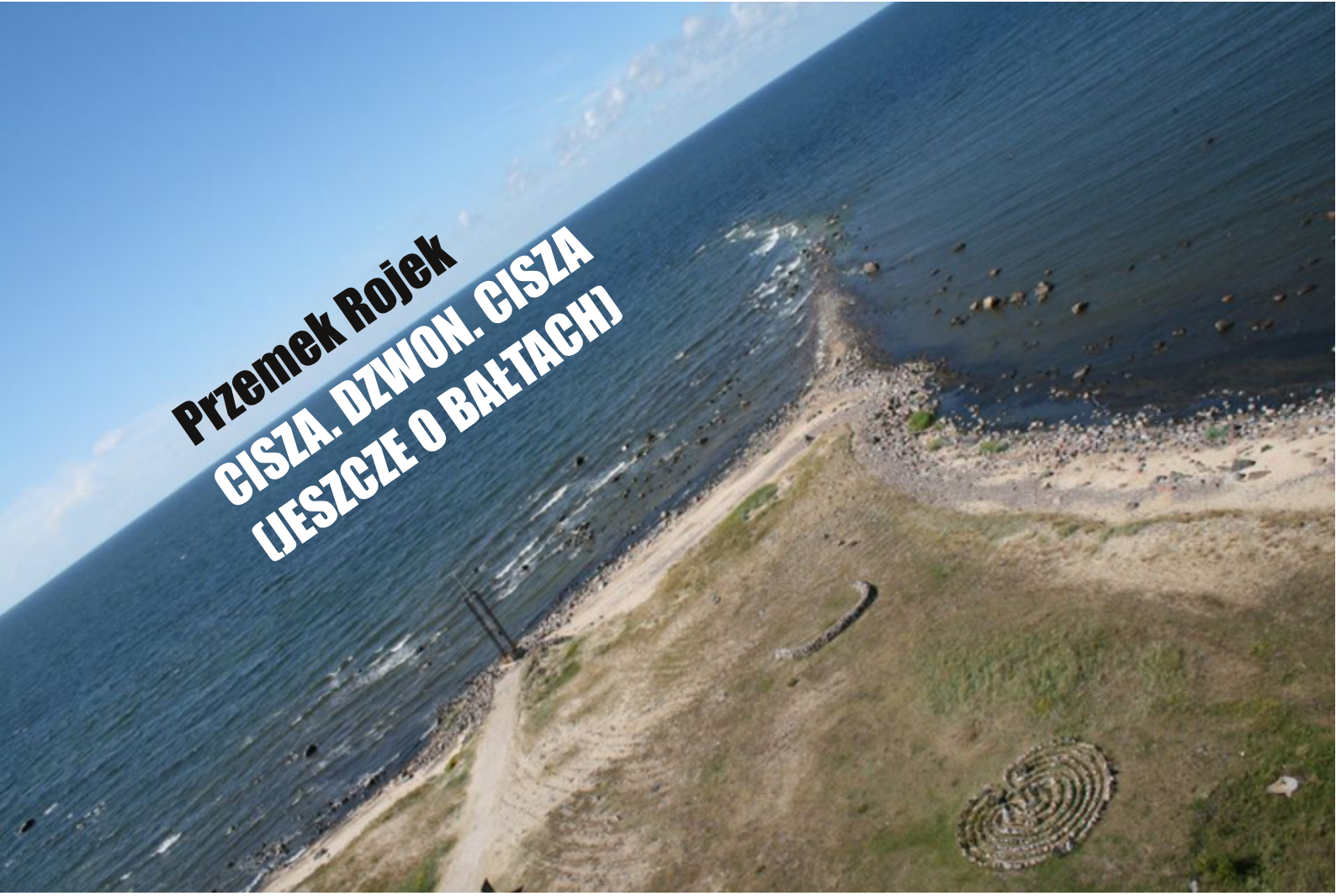

Przemek Rojek
CISZA. DZWON. CISZA (JESZCZE O BAŁTACH)

Port w Tallinnie widziałem kilkakroć – najczęściej przy pięknej letniej pogodzie, gdy błękity Bałtyku i nieba rozdziela tylko drażniący spojówki pląs słonecznych blików na tafli wody. Ale jeden raz była zima – kilkadziesiąt metrów od brzegu zaczynało się ołowiane nic, powietrze wypełnione złowieszczą mazią ze śniegu, marznącego deszczu, mgły i wiatru.

Zastanawiam się teraz, jak wyglądał talliński port wieczorem 27 września 1994 roku; pewnie bliżej było mu – mimo wczesnej jesieni – do tego zimowego. Wiać musiało potężnie, a nadbrzeże zapewne zalewane było kilkumetrowymi falami; warunki pogodowe nie spowodowały jednak zmian w planie ruchu okrętowego i potężny prom MS Estonia jak zwykle o 19:00, z właściwą sobie niewzruszoną punktualnością, rozpruł kilwaterem rozjuszone wody spowitej nocą Zatoki Tallińskiej. Zapewne jego światła, które o 9:30 następnego ranka miały prześlizgnąć się po falochronach strzegących przystani w Sztokholmie, znikły wcześniej niż zwykle.

Sześć godzin i dwadzieścia dwie minuty później dyżurny radiooficer na MS Marielli odebrał pierwszy sygnał mayday z Estonii, minutę później komunikat o bezpośrednim zagrożeniu życia z promu dotarł też do MS Silji Europy. O 1:24:47 załoga Estonii poinformowała, że jednostka ma dwudziesto-, może trzydziesto-stopniowy przechył na prawą burtę. Jeszcze niespełna minutę potem Estonia zakomunikowała brak prądu i związaną z tym niemożność podania swojej pozycji.

A jeszcze potem nastała cisza.

Gdy niespełna kwadrans po drugiej w nocy do orientacyjnego, przybliżonego miejsca, z którego Estonia próbowała nadać mayday, dotarła – jako pierwsza – Mariella, zastała już tylko wzburzoną taflę morza.

Podczas rejsu z 27 września 1994 roku na pokładzie MS Estonii przebywało dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć osób – pasażerów i członków załogi. Morze pochłonęło osiemset pięćdziesiąt dziewięć ofiar – ale

zidentyfikowano zaledwie dziewięćdziesiąt pięć ciał, siedemset pięćdziesiąt sześć osób do dziś ma oficjalny status zaginionych, spoczywając w zamienionym na sarkofag, porastającym glonami i z wolna mineralizującym się wraku mniej więcej osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią Bałtyku, nieopodal fińskiej wyspy Utö.

Zatonięcie Estonii to jedna z kilkunastu największych katastrof morskich w historii, oczywiście z pominięciem tego, co było – jak zatopienie Wilhelma Gustloffa – skutkiem działań wojennych (z reporterskiego obowiązku: tą najstraszliwszą było zderzenie horrendalnie przeładowanego, nadającego się już tylko na złom filipińskiego promu MV Doña Paz z tankowcem Vector; wtedy, 20 grudnia 1987 roku, w cieśninie Tablas zginęło ponad cztery tysiące trzysta osób, niemal trzy razy tyle co na Titanicu – dokładnej liczby nie poznamy nigdy z powodu rekordowej ilości nielegalnych pasażerów na pokładzie).

Wedle ustaleń końcowego raportu estońsko-fińsko-szwedzkiej JAIC (The Joint Accident Investigation Commision) powołanej do ustalenia przyczyn katastrofy Estonii – zawiniła technologia. Furta dziobowa piętnastoletniego promu, zbudowanego w Niemczech i pływającego uprzednio pod banderą fińską, nie wytrzymała sztormowej fali i oberwała się, czego skutkiem miało być otwarcie rampy wjazdowej i błyskawiczne wdarcie się wody na pokład samochodowy, a w efekcie – gwałtowny przechył i zatonięcie.

Tyle wersja oficjalna – są też jednak oczywiście narracje nieoficjalne (do ich mnożenia przyczyniają się zarówno liczne luki w efektach prac JAIC, niejasności dotyczące samego wypadku i tego, co następowało po nim, jak i osobliwa taktyka Szwecji, która do dziś za wszelką cenę stara się nie dopuścić – rzekomo z pobudek moralnych, w trosce o poszanowanie miejsca wiecznego spoczynku ofiar katastrofy – do wydobycia i ponownego spenetrowania wraku-grobowca). Mówi się i pisze o eksplozji ładunku wybuchowego, ostrzelaniu (przypadkowym albo i nie) promu przez siły morskie NATO, a nawet o wybuchu atomowym. Jedna z tych historii alternatywnych – choć brzmi jak gotowy scenariusz thrillera szpiegowskiego (korzystający z tej wersji wydarzeń, niemiecko-brytyjski film „Sztorm na Bałtyku" w reżyserii Reubena Ledera skądinąd rzeczywiście powstał; wszedł na ekrany w roku 2002), nie jest pozbawiona wcale prawdopodobnych podstaw... Niemiecka dziennikarka Jutta Rabe (współscenarzystka „Sztormu na Bałtyku") postawiła tezę, że na Estonii faktycznie mogło dojść do eksplozji, być może nawet zaaranżowanej przez służby wywiadowcze, a związanej ze szmuglowaniem radzieckich technologii wojskowych do Szwecji. I choć brzmi to zgoła nieprawdopodobnie, to przecież wkrótce po ujawnieniu przez Rabe jej rewelacji, fakt takiego przemytu potwierdził emerytowany szef szwedzkiej izby celnej, Lennart Henriksson (w jego wspomnieniach pojawia się nawet wprost wątek – między innymi – utajnionego transportu reaktorów do łodzi podwodnych o napędzie atomowym). Ostatecznie do takiego procederu przyznały się nawet władze Szwecji – choć kategorycznie zaprzeczają one, że ładunek tego typu miałby znajdować się na pokładzie MS Estonii podczas jej ostatniego, tragicznego rejsu... Wszystkie te nieoczywistości doprowadziły do tego, że rząd estoński

dziś oficjalnie kwestionuje raport JAIC i domaga się ponownego śledztwa.

***

Ale przecież nie o tym chciałem pisać. Miało być o pomniku.

Zacznę jednak od tego, że uwielbiam Estonię – i tu mógłbym rozpędzić niekończącą się enumerację miejsc, zdarzeń i ludzi, które i którzy sprawiły/sprawili, że za każdym razem, gdy przekraczałem granicę łotewsko-estońską, czułem i szczeniacką ekscytację spodziewanym niespodziewanym, i napawałem się doświadczeniem spokoju kogoś, kto wraca do siebie.

Ale przecież tak naprawdę wszystko zaczęło się od drzewa.

To był pierwszy w życiu wieczór w Estonii (wieczór letni, co oznacza, że mogła to być zarówno godzina szósta po południu, jak i pierwsza w nocy: w lipcu słońce nie zachodzi tu praktycznie przez całą dobę). Siedzieliśmy z Kasią na trawniku na porośniętych parkiem zboczach Toompea, tallińskiego Górnego Miasta, patrząc ponad pozostałościami murów obronnych na pstrokaciznę dachów i wież, na labiryntowe uliczki przecinające hanzeatycką starówkę. Potężne drzewo zasłaniało sporą część widoku – i sam nie wiem, w którym momencie przyłapałem się na tym, że nie mogę oderwać od niego wzroku, że absorbuje ono całą moją uwagę. Nad miarę rozrośnięte, dumne (nie wiem – lipa? dąb?), zdawało mi się aż niestosowne w swojej bujnej, zarozumiałej wegetacji. Nigdy wcześniej nie miałem tak intensywnego wrażenia, że słyszę krążącą wewnątrz pnia wodę, że mogę uchwycić spojrzeniem każdy ruch każdego liścia... No właśnie – to było jeszcze bardziej niesamowite: siedziałem kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów dalej, a przecież jak przez lupę widziałem najmniejszą zmianę odcienia zieleni w kutnerze. To sprawa światła, nieba – pomyślałem. I rzeczywiście, niebo było niebywałe – czyste, błękitne, ale nie mogłem się też pozbyć myśli, że wystarczy mocniej dmuchnąć, by odsłoniło całą paletę nieziemskich barw; każda chmura była inna, a każda zarysowana tak sensownie, że wystarczyłaby za samodzielną opowieść.

Opowieść zatem... ilekroć byłem w Estonii, podejmowałem tamtą rozmowę z pierwszego wieczora – serdeczny dialog z drzewami i niebem, którym mogłem się w nieskończoność przyglądać. Książka wysuwała się z ręki, gasła fajka, stygła herbata, a ja w medytacyjnym stuporze zawisałem wzrokiem na linii łączącej indygowy las z perłowo-waniliowym nieboskłonem – albo inaczej (choć przecież w istocie tak samo): wbijałem czubki biegówek w zaspę i wsłuchiwałem się w szept śniegu osypującego się na zamarzniętą taflę Pühajärv; i były w tej zimie wszystkie inne zimy świata, te niesione przez epoki lodowcowe i te, które być może okryją Ziemię, gdy zaczną się wypalać skryte w jądrze planety ognie budzące życie na tej naszej trzeciej skale od Słońca.

***

No ale miało być o pomniku.

Półwysep Tahkuna na drugiej co do wielkości wyspie Estonii, Hiiumie, to taki turystyczny masthew trasy łączącej wszystkie latarnie morskie wyspy. No i faktycznie, Tahkuna tuletorn robi wrażenie – może

nawet nie wysokością, nie leciwością (niby już niemal półtora wieku, ale przecież kilkanaście kilometrów stąd jest latarnia Kõpu, najstarsza nad Bałtykiem, ukończona w XVII wieku), lecz to, że została w całości złożona z zespolonych śrubami i nitami elementów stalowych; idzie się więc, dudniąc potężnie, krętymi schodkami wewnątrz pustej, zwężającej się rury, by stanąć na balkonie widokowym (też emocjonującym, bo z podłogą z niezbyt gęstej kratownicy, więc pod stopami aż nazbyt dokładnie widać te czterdzieści metrów powietrza), z którego rozciąga się bajeczny widok na morze, na fantazyjną linię brzegową, na przepyszne lasy Hiuumy, na ułożone z kamieni, częściowo (jakoby) oryginalne, częściowo odtworzone kręgi, podobnoż pamiętające czasy wikingów.

Pomnik – zbudowany w 1995 roku – stoi na najdalej na zachód wysuniętym w wodę skrawku Tahkuny. Autorem jest Mati Karmin, jeden z najbardziej znanych estońskich artystów operujących w przestrzeni publicznej. Jego najsłynniejszym chyba dziełem jest przeurocza rzeźba-fontanna całujących się studentów na rynku w Tartu, reprodukowana na bodaj co trzeciej widokówce z akademickiej stolicy Estonii (osobiście wolę inną tartuską pracę Karmina – również fontannę, poświęconą Jurijowi Łotmanowi; dopiero pod odpowiednim kątem widać, że plątanina metalowych rur, z których tryska woda, układa się w przezabawnie karykaturalną podobiznę charakternego oblicza wybitnego językoznawcy). Nie sposób też nie wspomnieć o innym przedsięwzięciu twórcy, tyleż artystycznym, co merkantylnym: jeśli ktoś ma na zbyciu parę tysięcy euro, to może nabyć sobie jego dziko dizajnerskie meble tworzone... z min morskich.

Pomnik na Tahkunie. Na równym betonowym fundamencie wmurowanym w stos kamieni osadzono żeliwny cokół, którego wierzchnia płyta schodzi ukosem w kierunku morza. Z niego wyrasta kilkumetrowy, pusty prostopadłościan, dwanaście metalowych czworobocznych krawędzi umieszczonych pod kątem prostym do podłoża, więc jeszcze bardziej wychylają się one ku tafli Bałtyku, jakby miały w nią runąć. Ten stelaż rdzewieje od soli morskiej – w przeciwieństwie do zawieszonego na nim krzyża z okrągłych rur; wspiera się on poprzeczną belką na szczycie prostopadłościennego szkieletu, a że jest ruchomy, więc prawem grawitacji zwiesza się doskonale pionowo nad morską płyzizną. Na jego dolnym końcu – dzwon ze sznurem, ozdobiony czterema wypukłorzeźbami dziecięcych twarzyczek, wystylizowanych na barokowe putta.

Ten monument upamiętnia dzieci, które zatonęły na promie. Czy tylko estońskie? Tamtej strasznej nocy życie w topieli Morza Bałtyckiego straciło aż trzystu czterdziestu siedmiu obywateli Estonii (więcej było tylko Szwedów), ale nie sądzę, by Karmin pozwolił sobie na tak nieetyczny, wykluczający gest... I kogo twórca traktował jako dziecko? Tych czternaście ofiar poniżej piętnastego roku życia? Czy może doliczył do tego jeszcze dalszych trzydzieści jeden zabranych przez sztorm osób, które nie przekroczyły dwudziestki? Może jest to napisane na pomniku, może da się to odnaleźć gdzieś w sieci – nie widziałem, nie pamiętam, nie szukałem; nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie.

Pomnik jest piękny, wstrząsający. Zżerany przez korozję stelaż, być może imitujący zalegające na dnie wręgi statku, ma w swoim pochyleniu coś żałobnego, poddańczego – ale też jakiś wyrzut, oskarżenie (Mati Karmin docenia wieloznaczną wymowę takich skośnych płaszczyzn, podobny efekt uzyskał w innym swoim upamiętnieniu innych ofiar Estonii – urzędników miejskich z Võru; tam masywna czarna bryła nieregularnego sześcianu skontrapunktowana jest wystającymi z jednej ze ścian niczym z toni, złożonymi w modlitewno-błagalny gest dłońmi). Dla kontrastu do tej utrwalonej pracy entropii – ponuro szary, doskonale wyprężony kształt krzyża. Nie należy popadać w banał i wyciągać z tego kształtu pocieszeń natury religijnej – taka manifestacja duchowości chrześcijańskiej byłaby czymś wcale nieoczywistym i niekoniecznym w intensywnie zlaicyzowanej Estonii. Niemniej jednak, jeśli przyjąć, że szkieletowa podstawa owego krzyżokształtnego elementu symbolizuje rozpadający się, pochłaniany przez nieistnienie i niepamięć wrak promu, to zwieszające się zeń, ponad miarę długie jarzmo dzwonu, jest tym, co ma stawiać opór nieskończonemu ruchowi unieobecniania przez żywioł, katastrofę, czas i zapomnienie.

Bo w ten dzwon można uderzyć.

Na Tahkunie, pod pomnikiem, nie było akurat nikogo. Kojąca cisza letniego popołudnia ogarniała swym rozleniwiającym oddechem wszystko – bladobłękitne niebo, perfekcyjne białe kłębowiska obłoków, pożółkłą trawę, rozpalone nadbrzeżne głazowiska, ledwo dostrzegalnie zmarszczoną przez bryzę, rozjarzoną słońcem flautę wód. Stanąłem przy cokole, ująłem dłonią ringabulinę – i zadzwoniłem. Czysty dźwięk rozszedł się potężnym, żałosnym echem daleko w morze – i było w tym coś niesłychanego, coś pomiędzy prostym odczytaniem nazwiska zmarłego na jakimś apelu poległych a obróceniem buddyjskiego młynka modlitewnego. Ramię mi opadło, zamarłem – to było zbyt intensywne, by ważyć się na powtórzenie. Wiedziałem, że nic więcej nie mogę – ale to, co zrobiłem, było wielkie. Było przeciwko tej ciszy, która zapadła 28 września 1994 roku po godzinie 1:24:47.

Drgnęły tysiące kilogramów podmorskiego mułu, czmychnęły przerażone ryby, zawarła się widmowa rampa pokładu samochodowego, dźwignęły kości. MS Estonia wydarła się z dna, by dokończyć swój rejs na czas – choć czasu już i nie ma, i ma go w liczonym wiecznością nadmiarze.

Tak to poczułem, takie moje prawo – prawo wzbudzonej spiżowym jękiem żałoby.

***

Skrawek Tahkuny, na którym stoi pomnik Matiego Karmina, to część estońskiego lądu najbliższa 59°23'0"N i 21°42'0"E, pod którymi to współrzędnymi spoczywa wrak promu. A kiedy siła wiatru przekroczy 20 m/s (czyli prędkość, z jaką wiało tamtej nocy), dzwon zaczyna dzwonić sam z siebie.

Potem nastaje cisza. Ale już nie ta.

Przemysław Rojek

Janusz Radwański

Święty człowiek

Mieszkam w sztetlu. Mieszkam w sztetlu i oprowadzam po nim czasem Żydów, żydów albo ludzi o żydowskich korzeniach. Znam zatem dużo historii strasznych, których wolałbym nie znać, ale nie wolno mi. Muszę. Więc siłą rzeczy się na nie uodparniam. Ale jest człowiek, o którym zawsze mówię ze ściśniętym gardłem. Leon Anderman.

Nie wiemy dziś i nigdy się nie dowiemy, kim się czuł, czy utożsamiał się w swoim przedwojennym życiu z jakąś narodowością czy religią, a jeśli tak, to jaką. Gdyby nie został zmuszony do wyborów, może nie wybrałby nigdy. Wiemy, jak żył i gdzie żył. Po frontowej służbie w armii austro-węgierskiej i po ukończeniu studiów medycznych w Wiedniu osiadł w 1923 roku w Kolbuszowej, małym sztetlu w Puszczy Sandomierskiej. Życie tego w połowie polskiego, w połowie żydowskiego miasteczka toczyło się między kościołem farnym a synagogą. Kiedy wiele lat później, w innym kraju i w innym świecie badaczka United States Holocaust Memorial Museum zapyta Maxa Notovicza, cudem ocalałego kolbuszowskiego Żyda, czy jego rodzina była religijna, odpowie: „Oczywiście. Wszyscy byli. Nie było innej możliwości". Chrześcijan i żydów łączyło miejsce zamieszkania, interesy, a nawet, gdy w grę w chodziły mecze z reprezentacjami okolicznych sztetli, piłka nożna, bo w takich wypadkach katoliccy i żydowscy piłkarze grali razem przeciwko obcym. Ale obie części społeczności łączył też konserwatyzm i religijność, oczywiście w innych obrządkach. Na tej mapie Leon Anderman znalazł się pośrodku. Nie chodził do fary, ale do synagogi też nie. Nie nosił, w przeciwieństwie do większości kolbuszowskich Żydów, pejsów ani zarostu. Jako jeden z dwóch lekarzy prowadzących praktyki w mieście, stosunki towarzyskie utrzymywał głównie z Polakami, bo to oni stanowili większość miejscowej socjety.

Wszystko zaczęło się zmieniać w 1938 roku. Reinhard Heydrich zarządził wydalenie z III Rzeszy wszystkich polskich Żydów, nawet tych, których z Polską łączyło tylko miejsce urodzenia. Miało ono skutek natychmiastowy, deportacja zaczęła się już następnego dnia po ogłoszeniu decyzji. Sytuację deportowanych pogarszało to, że polskie państwo nie chciało ich przyjąć. Jeszcze w marcu tego roku sejm pozbawił obywatelstwa wszystkich, którzy przebywali za granicą co najmniej pięć lat od odzyskania przez Polskę niepodległości. Tysiące bezpaństwowców znalazły się w beznadziejnej sytuacji. Niechciani ani w III Rzeszy, ani w II RP, z początku koczowali między granicami, by potem trafić do obozu przejściowego w Zbąszyniu. Pozbawieni majątku potrzebowali pomocy.

Z tego właśnie powodu Leon Anderman pojawił się w synagodze. Tam wygłosił płomienne przemówienie, apelując o wsparcie dla uchodźców z Rzeszy, sam zresztą zajął się organizowaniem zbiórki wśród kolbuszowskich Żydów.

Jak wspomina Naftali Saleschutz, już wtedy Anderman przewidywał nadejście ciężkich czasów. Jak ciężkich – tego oczywiście wiedzieć nie mógł, ale wiadomości

z kraju i świata nie wróżyły niczego dobrego. Dlaczego nie emigrował wtedy, choć, jako jeden z najbogatszych mieszkańców miasta, miał odpowiednie możliwości? Nie wiemy. Poczucie zagrożenia wpłynęło na niego inaczej – zaczął angażować się bardziej w sprawy żydowskiej społeczności Kolbuszowej.

Wojnę obronną 1939 roku, podobnie jak ok. 100 000 polskich Żydów, doktor Anderman spędził na froncie, jako lekarz wojskowy. Dostał się do niewoli, ale już w grudniu 1939 roku został zwolniony i wrócił do Kolbuszowej.

Kiedy Niemcy kazali tutejszym Żydom utworzyć Judenrat, kolbuszowscy Żydzi wysłali delegację do Andermana. Był uczciwy, odważny i obyty w świecie. I, co najważniejsze, mimo tego, że na pierwszy rzut oka niewiele go łączyło z zaczynającymi dzień w synagodze drobnymi handlarzami i rzemieślnikami, pokazał już, że sprawy tych ludzi są dla niego ważne. Kolbuszowscy Żydzi chcieli, żeby w tych ciężkich czasach to Anderman stanął na czele namiastki żydowskiego samorządu pod niemiecką okupacją.

Na początku nie chciał. Uważał, że byłaby to kolaboracja. Dopiero argument, że jeśli on się nie zgodzi, Niemcy wybiorą na to miejsce kogoś, kto będzie dla nich wygodny, sprawił, że Anderman przyjął propozycję. Podjął grę, w której przeciwnik miał po swojej stronie wszystkie atuty, przegraną grę, w której nieznana była jeszcze tylko stawka, jaką przyjdzie zapłacić. Anderman zrobił jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji można było zrobić, starać się, żeby ta stawka była jak najmniejsza, żeby po stronie przegranych zostało jak najwięcej, żeby wygrani zagarnęli jak najmniej.

Tak Andermana jako szefa Judenratu wspomina Naftali Saleschutz, który przeżył Zagładę m.in. w kolbuszowskim getcie. "Administracja doktora Andermana przywróciła do pewnego stopnia poczucie stabilności w żydowskiej społeczności. Jemu powierzono zadanie dostarczania robotników. Skończyło się porywanie ludzi do pracy o najdziwniejszych porach. Rada stworzyła system, zgodnie z którym wszyscy Żydzi po kolei pracowali dla Niemców. Ten plan przyniósł znaczącą zmianę nastrojów w Kolbuszowej. To, jak dr Anderman zachowywał się w stosunku do Niemców, zapierało dech w piersiach. Podczas gdy inni Żydzi stali przed swoimi władcami trzęsąc się i dygocąc ze strachu, od niego bił chłodny spokój". Gdy Niemcy kazali dostarczyć robotników do prac leśnych, nie dając im siekier, Anderman odmówił, póki nie dostaną narzędzi. „A co zrobisz, jeśli każę tych wszystkich Żydów powiesić?" – krzyknął wysłany przez Landrata Niemiec. – Nic nie zrobię. To wasz kat będzie miał mnóstwo roboty – miał odpowiedzieć doktor.

Niemiec, dysząc, odszedł bez słowa. Później kazał się grupie rozejść i wyjechał z miasta. Przez całą dobę miasteczko żyło sparaliżowane strachem. Wszyscy czuli, że tym razem doktor przebrał miarę i wszyscy za to drogo zapłacimy. Następnego dnia na rynek wjechała niemiecka ciężarówka. Dr Anderman został wezwany na policję. Gdy przyszedł, oznajmiono mu, że Landrat przesyła dostawę siekier dla jego robotników. Tego wieczora we wszystkich żydowskich domach w Kolbuszowej, nawet w okolicznych wsiach, wznoszono toasty za naszego dzielnego doktora" – wspomina Saleschutz.

Kiedy gestapo zażądało od niego list najbogatszych Żydów w Kolbuszowej, żeby wymuszać na nich kontrybucje, Anderman szybko ją sporządził. Było na niej jedno nazwisko. Wyjaśnił, że Kolbuszowa to biedne miasteczko, w którym mieszka tylko jeden bogaty Żyd. Leon Anderman. Poproszony o wskazanie najbogatszych żydowskich domów, z których mogliby zabrać meble do urządzania ich kwater zaprowadził gestapowców do mieszkań żydowskiej biedoty, wyposażonych tylko w biedne, zniszczone sprzęty. Nie mieli z nim łatwego życia okupanci, oj nie.

Jednocześnie tak jak mógł, pomagał żydowskiej społeczności. Zorganizował klinikę, leczącą za darmo wszystkich żydowskich mieszkańców Kolbuszowej, pracował też nad zaopatrzeniem jej w leki. Gdy Niemcy zakładali w Kolbuszowej getto, maleńki skrawek maleńkiego sztetlu, w którym stłoczyli połowę jego

mieszkańców, Anderman i wybrani przez niego członkowie Jundenratu starali się dokonać niemożliwego i rozmieścić wszystkich tak, żeby każdy znalazł jakieś schronienie. Swoją przeprowadzką doktor zajął się na samym końcu, gdy już wiedział, że wszystkim udało się zapewnić jakikolwiek dach nad głową. Gdy w życie weszło prawo nakazujące Żydom noszenie opasek z gwiazdą Dawida, jak wspomina Saleschutz, nikt nie chciał założyć opaski jako pierwszy i pokazać się z nią na ulicy. Zrobił do Anderman. On, który przed wojną trzymał się poza żydowską społecznością, gdy ta stała się obiektem prześladowań, pierwszy wyszedł na ulicę z opaską, mówiącą światu: jestem Żydem. Nosił ją z podniesionym czołem, pokazując wszystkim, że w czasach, gdy gwiazda Dawida wskazuje tych, którym odmawia się człowieczeństwa, jej noszenie jest powodem do dumy.

Niewiele rzeczy mogło pomóc przetrwać Zagładę. Jedną z nich były dobre kontakty poza żydowską społecznością, siatka ludzi, którzy mogli ukryć, wyrobić fałszywe dokumenty, dać jedzenie, pieniądze, wskazać drogę. Leon Anderman miał sieć kontaktów tak dobrą jak żaden z kolbuszowskich Żydów. Wielu było po chrześcijańskiej stronie ludzi, których leczył, którym pomógł, z którymi przyjaźnił się przed wojną, którzy szanowali go jako znanego obywatela przedwojennej Kolbuszowej i szefa Junderatu, o którego oporze słyszeli i kolbuszowscy katolicy. Nie skorzystał z możliwości ucieczki. Pozostał, żeby przewodzić i pomagać społeczności, z którą przed wojną niewiele go w sumie łączyło.

We wrześniu 1942 roku Walter Twardoń, Landrat Kolbuszowej, nakazał aresztować Andermana. Na wieść o tym kolbuszowianie z aryjskiej części miasta, Polacy, wysłali do niego delegację z prośbą o uwolnienie lekarza. Argumentowali, że każdy w mieście może poświadczyć, jak godną szacunku i zaufania osobą jest Leon Anderman. „Jak na mój gust jest zbyt uczciwy" – miał odpowiedzieć Twardoń.

Leonowi Andermanowi nie dane było towarzyszyć ludziom, którzy oddali się pod jego opiekę w ich ostatniej drodze – furmankami do getta w Rzeszowie i dalej, do komory gazowej w Bełżcu lub dołów śmierci w lasach głogowskich. Został przed wszystkimi wysłany do Auschwitz, gdzie zginął w 1942 roku. „Wysoki, barczysty, ciemnowłosy, o wyrazistych rysach i szczerej, życzliwej twarzy dr Anderman należał do tego niezwykłego gatunku ludzi, którzy, jak prorocy Izraela, głosili wzniosłe zasady moralne, i podporządkowywali osobiste interesy temu, o czym wiedzieli, że jest właściwe i sprawiedliwe" – wspomni go po latach Naftali Saleschutz. Księga Pamięci spisana przez ocalałych kolbuszowskich Żydów przedstawia go krótko. Leon Anderman – męczennik, święty człowiek.

Do historii Leona Andermana istnieje jednak jedno małe postscriptum. Jego willa przetrwała wojnę. Mieściło się w niej gestapo, po gestapowcach wprowadzili się do niej funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, zachowując funkcje pomieszczeń nadane przez kolegów po fachu – na piętrze biura i pokoje przesłuchań, w piwnicy areszt, gdzie po dwóch na pryczach leżeli więźniowie, odsypiając przesłuchania i tortury. Dziś w tym domu mieści się przedszkole. I jest w tym coś symbolicznego. Anderman nie ma w Kolbuszowej pomnika, ulicy, tabliczki choćby. Jedyną formą upamiętnienia na razie jest plac zabaw w dawnym ogrodzie doktora. Może ten śmiech dzieci, który zastąpił krzyki bitych i, wierzę, wygania z tych murów duchy, stanowi jakąś formę tryumfu tego, w co wierzył i za co zginął.

Janusz Radwański

Paweł Kozioł

Mosze Mieczysław Miguel

Statek nazywał się „Piriapolis". 27 lipca 1939 roku wypłynął z Antwerpii w rejs do Argentyny, opuszczając kontynent, na którym panował jeszcze chwiejny pokój. Sygnały tej chwiejności były widoczne na pokładzie. Szachiści, którzy jeszcze pół roku temu płynęliby jako reprezentacja Czechosłowacji, mieli grać w imieniu Protektoratu Czech i Moraw, w drużynie niemieckiej rysowały się napięcia na tle stosunku do nazizmu. Cel podróży stanowiło Buenos Aires i rozgrywane tam drużynowe mistrzostwa świata.

Płynęli również Polacy. A oznaczało to wówczas dwie rzeczy. Po pierwsze – skład w większości żydowski. Dwa lata wcześniej narzekał na to zjawisko felietonista „Prosto z Mostu" Karol Zbyszewski w nader przykrym tekście „Orzeł na chałacie", który powinien stać się – nie żartuję – obowiązkową lekturą szkolną. Pada w nim między innymi takie zdanie: „Prestiż Polski – co za blaga! Czego dowodzi fakt, że Rzeszewski i Horowitz pobili Frydmana i Szlomę? Tylko tego, że Żydzi z Ameryki grają lepiej od Żydów zamieszkałych czasowo w Polsce". I jak je dobrze przeczytać, to od razu wychodzi, do czego faktycznie służy nacjonalizm: do osłabiania własnego państwa. Najpierw w tym mało istotnym sportowym mikrokosmosie, potem w nauce, a potem już wszędzie.

Po drugie – polska drużyna szachowa znajdowała się w gronie niemal pewnych kandydatów do medalowych miejsc. Nie przeszkadzał w tym nawet fakt, że wielki Akiba Rubinstein, niegdyś wymieniany jako kandydat do tytułu mistrza świata, był już wtedy zajęty pogrążaniem się w szaleństwie. Rozgrywki rozpoczynały się 21 sierpnia, a trwały do 19 września – wystarczająco długo, by wybuchła wojna, by Polskę zaatakowały najpierw Niemcy, a potem Związek Radziecki, by już nie było dokąd wracać.

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że dla kraju, który właśnie przestawał istnieć, panowie wywalczyli srebrny medal. Złoto zdobyli Niemcy przewagą pół punktu – prawdopodobnie tylko dlatego, że decyzją organizatorów mecze między krajami w stanie wojny uznawano za remis bez gry. Dodam też, że niemiecka,

czy też właściwie za sprawą Anschlussu niemiecko-austriacka drużyna po turnieju postanowiła zostać w Argentynie. To zaś, co stało się z Polakami, to jest materiał na porządną powieść.

Obóz przedolimpijski, Ciechocinek 1935 r.
Stoją od lewej pp.: red. Friedman Henryk, Najdorf, dr. Tartakower, mgr. Makarczyk.

Los najmniej efektowny wybrał Paulin Frydman – w Buenos Aires zaczął się opiekować salą w kawiarni, gdzie w szachy grywał m.in. Witold Gombrowicz, bo lubił. Franciszek Sulik po paru latach w Argentynie wyemigrował najdalej jak się dało, to znaczy do Australii. Zaczął tam od łopaty, by zostać inżynierem i kilkukrotnym mistrzem kraju. Teodor Regedziński, zawsze uważający się za Niemca, wrócił do rodziny, do Łodzi. Z obawy o los bliskich przyjął status volksdeutscha, po wojnie odpokutował za to w więzieniu i zmarł niedługo po tym, jak go wypuścili. Ksawery Tartakower, starszy prawnik z brzuszkiem, przypomniał sobie wyczyny z czasów pierwszej wojny i podjął decyzję nieco mniej samobójczą, bo popłynął do Francji, chcąc się zaciągnąć do wojska. Opowieść o tym, co było z nim dalej, nie jest do końca wiarygodna, choć zaczyna się prosto: że go nie przyjęli. Według jednej wersji zdecydował się wstąpić do Legii Cudzoziemskiej pod mało efektownym nazwiskiem Cartier; według drugiej, co z pierwszą nijak się nie wyklucza, został sekretarzem bądź tłumaczem de Gaulle'a. A za niepewny status tej opowieści odpowiada fakt, że głównym jej źródłem był jeszcze jeden członek drużyny, Najdorf, człowiek czterech imion: Mosze Mendel, Mieczysław, Miguel, co zależało od tego, kiedy się podpisywał. Brzydal, elegant, blagier, nieuleczalny optymista, co przez pół życia kłamał, że był przed wojną mistrzem Polski, choć do niczego tego kłamstwa nie potrzebował, bo późniejsze sukcesy mówiły same za siebie.

Jest takie zdjęcie z połowy lat 30., przedstawiające trzech eleganckich mężczyzn słusznej postury i jednego chudego wypłosza z odstającymi uszami w nieco za dużej marynarce. To on. Panowie to ówczesna szachowa elita Polski. Oni chcieli, by młody Najdorf do nich dołączył, chcieli tak bardzo, że Frydman zaproponował temu nowemu oficjalny mecz, który nieznacznie i niespodziewanie przegrał. Są relacje i karykatury, na których młody Najdorf gra w mundurze Wojska Polskiego, i jest opowieść, według której ktoś z generalicji po wojskowemu praktycznie rozkazał, aby ten żołnierz w roku 1936 zagrał w Hamburgu w nazistowskich Niemczech. Nie podobało się to ani Najdorfowi, ani jego rodzinie, ale skutek był taki, że srebrny medal wręczał mu Hans Frank, który przy tej okazji musiał był wykrztusić, że nagrodzony został Mojsze Mendel Najdorf. Jednym słowem, w dwudziestoleciu międzywojennym ten wypłosz zrobił solidną karierę na skalę krajową z paroma wyjazdowymi sukcesami, choćby na Węgrzech. Cholernie dużo jak na Żyda z Grodziska Mazowieckiego, lecz mało w porównaniu z tym, co miało przyjść.

Ale na razie jest rok 1939 albo 1940. Najdorf nie ma dokąd wracać, nie ma nawet za co, bo część pieniędzy na bilet przehulał w kasynie, kiedy jeszcze nie wiedział, że wybuchnie wojna. W dzień chodzi po ulicach Buenos Aires jako domokrążca, a wieczorami gra w szachy na pieniądze. Przynajmniej z hiszpańskim nie ma większych problemów, bo po polskim gimnazjum zna łacinę i zdradza nieprzeciętny talent do języków. Przyjaciel, argentyński szachista Guimard, namawia go na wejście w biznes ubezpieczeniowy. Początki są skromne, lecz po paru latach firma Najdorfa staje się największym towarzystwem ubezpieczeniowym w Argentynie.

W Polsce została jego żona, Lusia, oraz trzyletnia córka. Według niepewnej tradycji rodzinnej (pochodzącej niestety z późniejszej rodziny Najdorfa)

nie wsiadły na statek, chociaż Najdorf namawiał, bo żona miała grypę i bała się podróży w takim stanie. I teraz nasz szachista stoi przed problemem, jak to się ładnie mówi, nierozwiązywalnym: dać znać, że żyje, przekazać wiadomość na ogarnięty wojną daleki kontynent, przebić się przez wojenną niemiecką cenzurę. Robi to w swoim brawurowym stylu: na argentyńskich stadionach bije kolejne rekordy najpierw w grze z wieloma przeciwnikami, najpierw normalnie, potem bez patrzenia na szachownicę. A wygląda to tak: siedzi w osobnym pomieszczeniu, pozbawiony nawet przyborów do notowania, popija dostarczone przez sponsora soczki, ktoś mu przynosi informacje o wykonanych przez przeciwników ruchach, a Najdorf odpowiada przez mikrofon. Takie seanse potrafią trwać nawet dwadzieścia godzin.

Mistrz M. Najdorf.

Szachiści mówią, że jedna partia na ślepo to doskonałe ćwiczenie wizualizacji, ale cokolwiek więcej to mordęga. Sam jestem takim sobie graczem. Próbowałem, nawet ta jedna partia przychodzi mi z najwyższym trudem, pola i linie się mylą, jakby plansza się chwiała; na odtworzenie, co obok czego stoi, co atakuje, co broni, co zasłania, schodzi mi więcej czasu niż na myślenie naprzód. Natomiast Najdorf grał takich partii po czterdzieści i prawie wszystkie wygrywał. I rzeczywiście nawet niemiecka prasa, nawet gadzinówki czuły się zobowiązane, by pisać o jego rekordach. Podobno informacja dotarła do żony, ale w getcie czy w Auschwitz nie mogła nic z nią zrobić. Nie przeżyła, dziecko też nie.

Historia zakpiła z naszego bohatera jeszcze w jeden sposób. Gdy wojna się skończyła, miał 36 lat i nie bał się żadnego szachisty, którego znał. Przypuszczał, że ma szansę na mistrzostwo świata. Przegapił jeden czynnik, jeden kraj – Związek Radziecki, który właśnie zaczął wypuszczać w świat nieznanych jeszcze nikomu graczy, którzy potem stworzyli zjawisko zwane „radziecką szkołą szachową". Czy Najdorf mógł z nimi wygrać w roku 1948? Prawdopodobnie już nie, ale wtedy, kiedy miał szanse mimo wszystko największe, nie dane mu było spróbować. Nie miał też za sobą państwa, które zdołałoby kanałami dyplomatycznymi wymusić jego udział w rozgrywkach na najwyższym szczeblu.

Najdorf grał w szachy do końca życia, a było ono długie i udane. W latach 50. grał na poziomie pierwszej dziesiątki na świecie. Jeszcze w wieku 69 lat, jako ostatni amator w sprofesjonalizowanym już sporcie, wyprzedzał w turniejach byłych mistrzów świata. Biznes ubezpieczeniowy szedł mu tak, że został jednym z najbogatszych obywateli Argentyny. Ci, którym dane było go poznać, zapamiętali go jako kopalnię anegdot, miłośnika żartów, fascynującą osobowość – słowem, niewielu było ludzi, których życie zostawiało taki szeroki, taki piękny ślad. Jak nie wierzycie, znajdźcie jakiegoś szachistę i zapytajcie go o wariant Najdorfa w obronie sycylijskiej.

Paweł Kozioł

Radek Wiśniewski

The day after

Te obchody w formie, jaką obserwuję, budzą moje mieszane uczucia. Próbuję jakoś to nazwać, tak żeby nikogo nie obrazić, nie zlekceważyć żadnego ważnego głosu. Ale coś mi w nich nie gra. Tak jak nie gra mi od lat coś w odruchowym powtarzaniu frazy „nigdy więcej", która zdaje się tak łatwo, samą swoją gramatyką uznawać sprawy za zamknięte. Na nigdy. Na zawsze. I nie uświadomiło mi tego przemówienie, skądinąd wyjątkowe, Pana Mariana Turskiego. On tylko zdaje się bardzo dobrze nazwał, zebrał w całość fragmenty, które dobrze znam. A że mówił to On, to miało wyjątkową wagę i siłę.

Dlaczego jednak mam gdzieś na dnie ślad poczucia zmieszania? Może dlatego, że nie mam poczucia, by ustanowienie obchodów tego Dnia w Auschwitz sprzyjało zrozumieniu tego, czym było Szoa. Powtórzę to jeszcze raz – Szoa. Nie druga wojna światowa, nie zbrodnie III Rzeszy na to akurat Auschwitz jest znakomitym przykładem. Bowiem był obozem, potężnym i złożonym kombinatem zła. Mieścił w sobie wszystko. Całą ciemność. Ale jak wspomniałem – był złożonym tworem i miał złożoną historię. Tak jak dzieci uczy się w pierwszej klasie zbiorów i podzbiorów, a w ich książkach widać okręgi zachodzące na siebie i tworzące wspólne zbiory i podzbiory w różnych kolorach, ale też ujawniają się zbiory osobne – tak samo jest z historią drugiej wojny światowej, historią zagład, eksterminacji, historią Szoa i historią Auschwitz. Są elementy wspólne, ale są osobne.

Auschwitz, w tym Auschwitz-Birkenau, jest takim miejscem, w którym te podzbiory zbrodni niemieckich się w większości schodzą. Auschwitz był zarazem miejscem eksterminacji Żydów w ramach ostatecznego rozwiązania, obozem zagłady, jak i obozem koncentracyjnym, obozem pracy i miejscem pseudomedycznych eksperymentów, a powstawał z myślą o jeńcach sowieckich. Ale to nie znaczy, że można się prześlizgnąć nad Szoa komunałem „myśmy też cierpieli", albo „ludzie ludziom zgotowali ten los".

Bo losów było wiele, a sprawcy dzielili i rządzili, także poprzez dystrybucję zbrodni, terroru i strachu. Były różne grupy zaszeregowania. Do zabicia za to że są, że w ogóle się urodzili – przeznaczeni byli Romowie, Żydzi i niepełnosprawni. W zasadzie niepełnosprawni byli forpocztą, to na nich ćwiczyli metody szybkiego uśmiercania i utylizacji zwłok ludzie tacy jak Christian Wirth czy Franz Stangl. Nie znacie tych panów (niech im ziemia ciężką będzie)? No właśnie, coś umknęło w tych nakładających się kołach, owalach, zbiorach i podzbiorach. Jakaś szczególna osobność losu.

Szoa to opowieść o zagładzie i śmierci wymierzonej tylko za to, że się urodziłeś, urodziłaś Żydem. Nie – za to że stawiałeś opór okupantowi, miałeś cokolwiek do powiedzenia na temat świata, co się władzy nie podobało. Nie. Wystarczyło, że miałeś, miałaś dwa dni, a Twoi rodzice nazywali się Miriam i Josełe. To opowieść o mordzie, który miał takie tempo, jak wspominana wreszcie z należytą powagą od kilku lat rzeź Woli w czasie Powstania Warszawskiego. To był ten amok mordu wszystkiego co żyje, który pojawia się w opowieściach warszawiaków z tamtego czasu. Tylko że ten amok trwał i trwał. Nie dzień, nie dwa,nie trzy, ale miesiącami codziennie do Treblinki, Sobiboru, Chełmna nad Nerem i Bełżca wjeżdżały dwa, trzy składy pełne ludzi, pełne Żydów. I wyjeżdżały puste. Nikogo nie więziono, nie katowano przesłuchaniami, nie bito, nie skazywano na śmierć. Żydów i Żydówki przerabiano jak materiał budowlany, z foremnego na bezforemny, na pył, popiół. Tak, to prawda, to się działo również w Auschwitz.

Ale w Auschwitz krzyżuje się wiele historii, wiele opowieści. I to pozwala nawet w dobrej wierze – zaciemniać istotę sprawy. A przy złej wierze – niewielkimi przesunięciami akcentów – manipulować.

Dzień pamięci o ofiarach Holocaustu, Dzień Pamięci o Nieocalonych jest poświęcony Żydom i Żydówkom. Ten fakt zdaje się umykać, jest na różne sposoby manipulowany. Wstępem do tej manipulacji jest dopuszczanie do głosu polityków. A to politycy jako klasa społeczna nie tylko odpowiadają za tamto nieszczęście, ale także za to, że pobierając pensje z naszych podatków nadal nie potrafią stworzyć świata, w którym kolejne zbrodnie są niemożliwe. Co z tego, że Niemcy już nie mordują Żydów w Europie w czasie drugiej wojny światowej? Morduje ktoś inny, może mniej metodycznie, innych ludzi w innym zakątku świata.

Szoa to opowieść o żydowskim bólu. Mam wrażenie, że ciągle, osobliwie w Polsce ucieka się od tego bólu. A bo nie tylko oni ginęli, a bo ginęli inni, a bo zdradzili nas alianci, a bo coś tam. Po pierwsze nie nas, bo nas tam nie było. Po drugie zakrzykiwaniem cudzego bólu, nie tworzy się świata i okoliczności, w których się słucha, ale okoliczności i świat, w którym wszyscy skandują i nikt nikogo nie słyszy i nie słucha. Mam niejasne poczucie, że cisza, spokój i danie przestrzeni bólowi tworzy przestrzeń także na moją, naszą opowieść w sercach i umysłach tych innych. Ja wysłucham Ciebie, potem Ty wysłuchaj mnie. Tylko że jako społeczeństwo – ciągle nie jesteśmy gotowi słuchać, albo już nie jesteśmy gotowi. Jako społeczność chcemy ciągle krzyczeć, mieć ostatnie słowo.

Dlatego nie wiem czy nie byłoby lepiej dodatkowe obchody zorganizować w miejscach, w których nic nie ma. Bo nie ma społeczności żydowskich, które w tych miejscach były. Nie mam na myśli tylko polany w lesie Treblinka, nie mam na myśli tylko bocznicy kolejowej Sobibioru. Mam na myśli las przy drodze z Tykocina. Tą drogą Niemcy kazali iść Żydom z miasta, a na czele pochodu szli klezmerzy. Szli za miasto do lasu nad wykopane już doły i tam skończyła się historia ich społeczności. Sąsiedzi stali i patrzyli. Aptekarz, zegarmistrz, sklepikarz, ich żony, dzieci. Nie wiem czy nie tam, w lesie pod Tykocinem, gdzie nic nie ma, poza lasem – ten dzień nie wybrzmiałby pełniej i ciemniej.

I jeszcze dwie pozornie oderwane refleksje po wczorajszym dniu.

Jedna jest taka, że często czytam komentarze, że przecież w dziejach świata, a nawet dwudziestego wieku Szoa nie jest niestety jedyną historią o ludobójstwie. To prawda. Jeżeli jednak tak jest i tyle osób o tym wie, to nie rozumiem jednej rzeczy. Dlaczego 10 marca każdego roku na wrocławskim rynku z tybetańską flagą stoi nas raptem kilka, tych samych osób? Co roku w kwietniu jestem pod haczkarem we Wrocławiu, żeby okazać swoją solidarność z ormiańskim bólem. Ale nie widzę tłumów świadomych cierpienia innych narodów wrocławian. Rocznica Mec Jeghern gromadzi w zasadzie tylko Ormian, Ormianki i czasem mignie postać jakiegoś dominikanina ze zgromadzenia we Wrocławiu, na terenie którego stoi haczkar. Przychodzę sam, odchodzę sam. Nie widzę też masowych akcji upamiętniania Hołodmoru na Ukrainie. Bo to ich problem, niech najpierw przeproszą, za Rzeź Wołynia. I tak dalej.

Może gdybyśmy jako społeczeństwo umieli współodczuwać z innymi ich ból, nawet nie rozumieć, ale współodczuwać, stać obok w milczeniu, na znak, że może wtedy świat o Was nie myślał, ale dzisiaj tutaj jesteśmy – nie byłby potrzebne żadne żenujące akcje typu „respect us" i inne powstania z kolan. Bo Ci, którym okazuje się empatię – przyszliby sami w nasze „straszne dni", nie z dyplomatycznego obowiązku, ale odruchu serca, kierując się w z gruncie rzeczy piękną zasadą wzajemności.

I druga myśl taka, że może dni pamięci o zagładach, tak, bo to powinny być dni, osobny dzień pamięci o Sinti i Romach, osobny o Ukrainie, osobny o rzezi Wołynia, osobny o Szoa – te dni powinny być ciche i ślepe. Pomysł wypowiedział wczoraj w prywatnej rozmowie na kanale Laboratorium Empatii Przemek Rojek. Że w taki dzień powinny być zgaszone światła, wygaszone reklamy, wyłączony FB, YT, Insta i Netflix, powinien być zakaz wypowiedzi dla polityków, ziemię powinny zasnuwać ciemności. Powinna być tylko pustka. I nawet – takie moje zdanie, Przemku – modlitwa powinna być zakazana. Powinna być cisza i ciemność. I my powinniśmy kilka razy w roku w tę ciszę, tę ciemność wchodzić bez słowa, bez żadnej tarczy.

Bezbronni.

Jak oni.

Radek Wiśniewski

I my powinniśmy kilka razy w roku w tę ciszę, tę ciemność wchodzić bez słowa, bez żadnej tarczy.

Agata Zuzanna Jabłońska

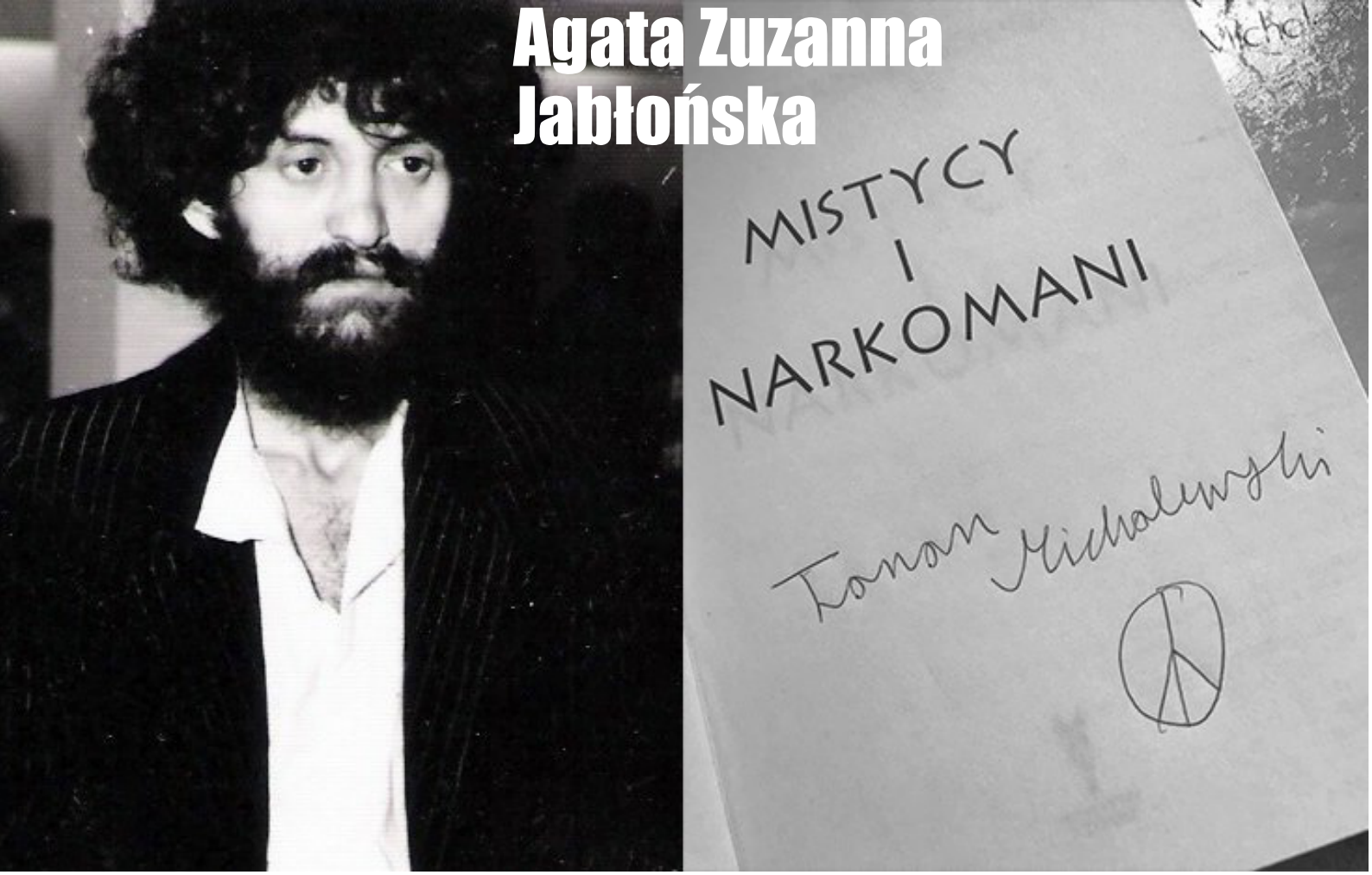

Jestem małą dziewczynką. Stoję nad potokiem płynącym przez Rzepedź i przyglądam się Tarzanowi, który płucze rękę w przepływającej wodzie. Ukąsiła go żmija, bo pomylił ją z zaskrońcem, chciał złapać i komuś pokazać. Mówi, że starego narkomana to nie zabije. I faktycznie – nie zabija. Opowiada o roślinach, które rosną dookoła. Wtedy znam je absolutnie wszystkie, rozpoznaję kiedy które się zbiera, wiem do czego służą. Tarzan, którego pismo zawsze będzie przypominać bazgroły moich kolegów z podstawówki, z imponującą precyzją rysuje z pamięci zwierzęta, oglądane jeszcze za czasów pracy w krakowskim ZOO. Ja w zamian szkicuję i opowiadam o stworzeniach żyjących pod kamieniami i tworzących własne cywilizacje, o wodnych i leśnych pannach spotykanych na moich spacerach. Tarzan nie ma powodu, żeby mi nie wierzyć, ja dzisiaj nie mam powodu, żeby nie wierzyć tamtej sobie. Cała rzepedzka historia jest dla mnie magmą, nie pamiętam wiele, ale patrząc po latach na swojego syna, chyba wychwyciłam moment, w którym człowiek trwa w zawieszeniu pomiędzy czuciem całym sobą a mową. Mowa kanalizuje wrażenia, każe je nazywać i część – tę nie do ujęcia opisem – ignorować. Gdzieś między piątym rokiem życia a pójściem do szkoły można to łapać i obserwować, potem ucieka, bo człowiek dąży jednak do komunikacji, a nie mając wystarczających zasobów, wiele z tego, co odczuwa, musi odrzucić. Później na ogół nie uczy się już tego na nowo, chyba że jest Wojtkiem Michalewskim. Jemu poszukiwanie odpowiedzi na pytania o naturę wszechświata zajęło większość życia, kosztowało bardzo wiele i nie oszczędzało ani materialnej powłoki, ani wewnętrznej równowagi.

Michalewski napisał książkę. Znam ludzi, którzy ją czytali, znam wielu, którzy o niej słyszeli. Wydana dwa razy – na początku i pod koniec ostatniej dekady XX wieku – rozeszła się głównie w środowisku, które opisywała, czyli pośród polskich hipisów. Jest wzmiankowana w publikacjach historycznych, bywa że tam punktuje się jej niedokładność, wskazuje faktograficzne nieścisłości. A istnieją one, bo – uwaga – jest to książka. Nawet jeśli pretekstem jest gawęda o sprawach, które się wydarzyły, zawarty w niej ciężar gatunkowy zasługuje na uwagę nie tylko dlatego, że w tej opowieści można rozpoznać kilkoro żyjących i sporo już nieżyjących postaci. Co robić

z czymś, czego ani historia, ani literatura nie traktują poważnie?

Historia jest prosta: bohater, dysponując aparatem różnych filozofii i światopoglądów, wędruje przez krajobraz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Narzędzia, pojazdy czy może wcielenia zmieniają się na skutek licznych zwrotów akcji w sekwencjach niemal przygodowych. Nie zmienia się jedno: czujność, uwaga, jaką Tarzan zachowuje niezależnie od głębokości, na którą schodzi, i wysokości, na którą wylatuje. Bez przerwy pyta, waży, obserwuje siebie i świat. Dużo widzi, dużo potrafi nazwać. Jednocześnie jego kontakt ze wszystkim, co bada, jest zupełnie osmotyczny, jakby nie miał skóry, wszystkie bodźce docierają do niego bardziej, niż gdybyś o tym po prostu czytał. Nawet tam, gdzie jego skóra jest mocna, pokryta izolującą warstwą brudu i odporna na kopniaki.

Środowisko hipisów opisane w „Mistykach i narkomanach" to mały wszechświat. Są tam religie, jakiś zalążek organizacji sklecony przez jej zaprzeczenie. Są role przypisane konkretnym postaciom – częściowo skompilowanym z opowieści o różnych autentycznych osobach. (Tutaj pojawia się fragment, który już raz napisałam i chyba nie mam powodu się z niego wycofywać). Zbiorowość opisana przez Tarzana przygarnia i wchłania cały zakres społecznych anomalii, chroniąc i niszcząc jednostki o wyjątkowych właściwościach. Pokazuje przekrój ludzkich interakcji, ale przede wszystkim jest historią o kształtowaniu się osobowości i jej relacji ze światem – tym prawdziwym, tym metafizycznym i zupełnie urojonym. Przekaz „Mistyków…" – dla mnie zupełnie formacyjny – mówi o obowiązku poszukiwania, zadawania pytań, o tym, że żadna sytuacja życiowa ani społeczna nie zwalnia od filozoficznego namysłu, wątpliwości, określania siebie wobec cywilizacji i absolutu (o ile uznaje się jego istnienie). Chciałabym pokazać „Mistyków…" światu choćby po to, żeby ktoś popatrzył na nich moimi oczami i zastanowił się nad tą książką z takiej perspektywy. Staram się zebrać i na nowo opracować całość, porównać edycje i zachowane robocze maszynopisy, a kiedy to będzie gotowe – pokazać ją światu w możliwie dużej skali. Nie wiem, co wyniknie z tego pomysłu, ale czuję, że niepodjęcie próby byłoby wielką stratą.

Mam dwadzieścia kilka lat, widuję Tarzana naprzeciw Poczty Głównej. Umawiamy się bezskutecznie na wspólny wyjazd do naszej letniej bazy, kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa. Tarzan nie wyjeżdża daleko, bo musi się zgłaszać po leki. Jest chory. A potem go już nie ma i nikt nie postawi mi Tarota, żeby wytłumaczyć, o co mi tak naprawdę w życiu chodzi. Miną lata, zanim do tego sama dojdę.

Agata Zuzanna Jabłońska

[foto ze ślubu Tarzana leży w kopercie, u mojej mamy. Nie wiem kto je zrobił, ale dziękuję]

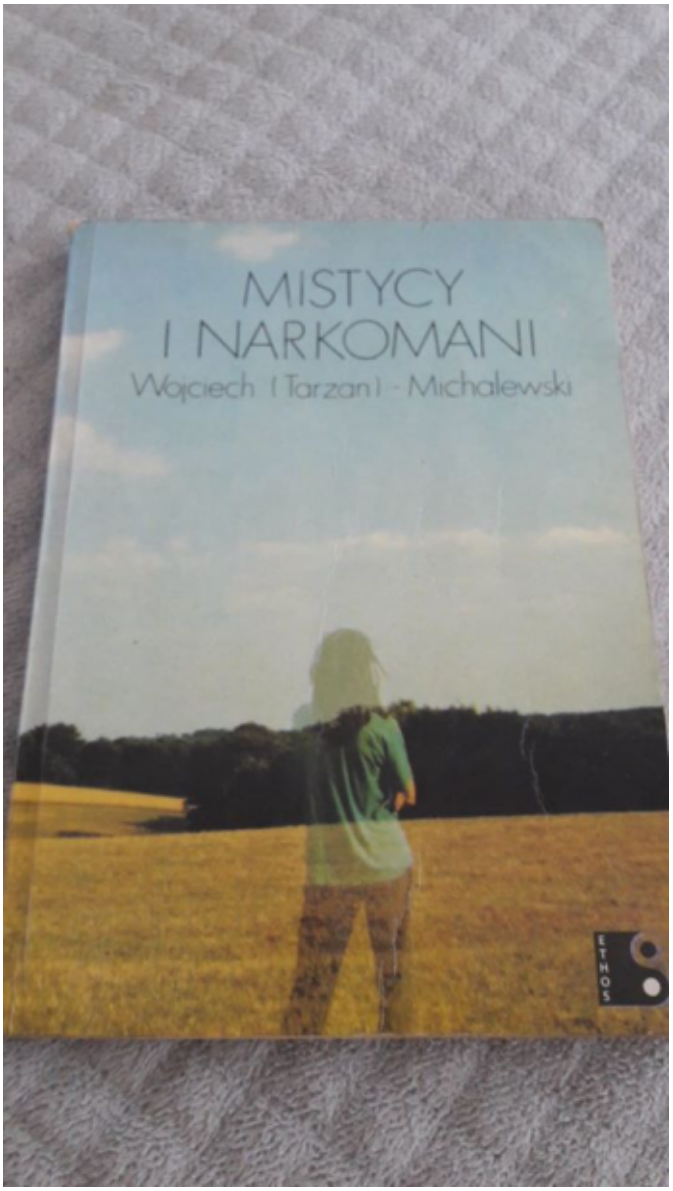

Elżbieta Lipińska, Radosław Wiśniewski

Nikt nie jest nieomylny

Nikt nie jest nieomylny, trzeba się uczyć. Z różnych rozmów, opowieści znajomych, przyjaciół z Gdańska wyłania się obraz człowieka, który nie był nieomylny, ale wytrwale się uczył miasta, ludzi, świata. Startował z pozycji liberalnych i konserwatywnych, ale przeszedł długą drogę.

Potrafił z okazji jubileuszu 50-lecia w małżeństwie osobiście zadzwonić i zapytać, czy może wpaść z tej okazji na kawę z życzeniami. A kiedy w Europejskim Centrum Solidarności wysiadła klimatyzacja – w drodze do lub z pracy wpaść zapytać jak się pracuje, czy da się wytrzymać i że on już gadał z kimś, żeby coś z tym zrobić.

Kiedy cała propaganda mówiła, że uchodźcy mają wrócić tam, skąd przyszli albo utonąć w morzu, On miał charakter i wbrew ogólnemu trendowi powiedział, że Gdańsk jest otwarty, powołał w mieście Radę Imigrantów, która działa skutecznie do dzisiaj.

I kiedy kolejny raz startował w wyborach na stanowisko prezydenta miasta Gdańska, w niełatwej dla siebie sytuacji osobistej i politycznej, a spotkał na przystanku konkurenta, który tak jak On rozdawał pączki, to podszedł i poczęstował, bo jak mówił, jego były niskokaloryczne.

I sam głęboko wierzący i praktykujący katolik na zakończenie Ramadanu w odwiedzinach u braci muzułmanów zdjął buty i usiadł z nimi wspólnie w kręgu na dywanie, żeby spędzić chwilę.

A kiedy ktoś obrzucił samochód rosyjskiej rodziny kamieniami w centrum Gdańska i wybił przednią szybę – zaprosił tę rodzinę do siebie, żeby osobiście przeprosić za ten incydent i zatrzeć złe wrażenie bo Gdańsk ma być otwarty i każdy ma się w nim czuć jak u siebie.

I kiedy ktoś wybił szybę w synagodze – to wspólnie z przedstawicielami innych wyznań oficjalnie

wprawiono te szybę i … zrobiono odsłonięcie tej nowej szyby. Jako znak i komunikat dla tych, którzy ją wybili, że Gdańsk nie jest miejscem na takie wybryki i ani szyba w samochodzie rosyjskiej rodziny, ani szyba w synagodze nie jest bez znaczenia. Ma znaczenie. Bo od szyby często się zaczyna.

Nikt z nas nie chce z Prezydenta Gdańska robić świeckiego świętego, robienie z ludzi świętych to generalnie nie jest chyba najszczęśliwszy pomysł. Nie o to nam chodzi. Raczej sami się ucząc empatii, sprawdzając, próbując, eksperymentując, głównie na razie słowem i poprzez słowo – w końcu jesteśmy Laboratorium – chcemy w dniu początku uroczystości pogrzebowych Prezydenta Pawła Adamowicza zwrócić uwagę na ten aspekt – nauki.

Wiele osób o tym mówi – Paweł Adamowicz cały czas się uczył jak być bliżej, lepiej, jak być otwartym i czynić innych otwartymi.

Dzisiaj łączymy się ze współczuciem z rodziną Pana Prezydenta Adamowicza, jego współpracownikami, mieszkańcami Gdańska oraz – to także dla nas spora lekcja jakiej udzielił nam Gdańsk w ostatnich dniach – z rodziną sprawcy tej tragedii.

Dzisiaj kiedy Prezydenta Adamowicza na swój sposób chcą uczcić sąsiedzi – Ukraińcy wyświetlają we Lwowie wielkie zdjęcie na ścianie kamienicy, Czesi chcą nadać Jego imię jednej z ulic w Pradze, a Rosjanie po prostu przynoszą kwiaty pod ogrodzenie polskiego konsulatu w Kaliningradzie – możemy też chyba trochę się uczyć od naszych sąsiadów – dostrzegania innych ponad granicami. Oni nas widzą.

Jak poucza Dalajlama – z kosmosu widać jedną planetę, nie widać żadnych granic politycznych i administracyjnych. Widać tylko planetę, jej lądy, morza, rzeki i wie się, że gdzieś tam są istoty czujące i pragnące szczęścia, spokoju, bezpieczeństwa.

Elżbieta Lipińska, Radosław Wiśniewski

Artur Nowaczewski

Rodion G.A., Lost tapes

Odkrywanie na YouTube zespołów, których nikt wśród znajomych nie zna, wsłuchiwanie się w rytmy różnych języków to jeden z moich ulubionych sposobów trwonienia wolnego czasu. Ile to już razy udawało się znaleźć coś – co pozostawało w pamięci na dłużej. Rosła we wszystkich kierunkach muzyczna mapa złożona z różnych czasów i przestrzeni. Nie mam słuchu ani wiedzy, które pozwoliłyby mi tę kolekcję dźwięków uszeregować i opisać. Pozostają więc strumienie emocji, podróże po omacku. Pewnego dnia błądząc po YouTube, szukałem zimnej fali w Rumunii. Od jakiegoś czasu zresztą muzyki nie trzeba szukać, ona już sama nas znajduje, po pozostawionych w wyszukiwarkach tropach. I tak odnalazł się Rodion Ladislau Roșca.

Zabrzmiało to coś, jakby Kraftwerk, z garażu albo komórek ze starej dzielnicy, złóż wrażliwości i wyobraźni, niepowtarzalne i wyrosłe przy skromnych środkach. Trudno w Europie lat osiemdziesiątych o kraj bardziej ponury i mniej sprzyjający muzycznym eksperymentom niż Rumunia. Może jeszcze bardziej izolowana Albania? Niełatwo było wyobrazić sobie muzykę, która stwarzałaby w kraju krwawego dyktatora przestrzeń wolności. Ale gdy już usłyszałem Rodiona – wiedziałem, to jest to. Najpierw odleciałem na Alpha Centauri, potem pogrążyłem się w In listea noptii (w nocnej ciszy), a potem jeszcze w innych kawałkach. Album nazywał się The Lost Tapes (zagubione taśmy). Pomyślałem, że to apokryf, coś jak Pieśni Osjana – niby oryginał z niby przeszłości – bo album ukazał się w 2013.

Okazało się, że jednak nie. Że to prawdziwe „The Lost Tapes". Rodion Ladislau Roșca miał swoje noty w dwu Wikipediach – rumuńskiej i węgierskiej, na językowych samotnych, niezrozumiałych dla sąsiadów wyspach. Za granicami nie istniał, nie mówiąc już o zunifikowanym Zachodzie. Ktoś jednak na ten Zachód go przemycił, bo tam się ukazały jego płyty, odnalazłem poświęcony mu artykuł w „The Guardian".

„Rumunia była krajem wiejskim, wiesz o co mi chodzi?" – opowiadał Rodion Michaelowi Hahnowi – „W wioskach mieszkało wielu chłopów współpracujących z Securitate i milicją. Drażnili ich

studenci i ci, którzy nosili długie włosy. I w ogóle ludzie z miasta. Lubili tylko muzykę ludową. I tępili wszystkich, którzy słuchali innych typów muzyki. Rodzice obcinali dzieciom włosy we śnie. (…) Były z tego powodu nawet samobójstwa."

Urodził się w 1953 roku, jak pół-Rumun, pół-Węgier. Już jako młody chłopak był kolekcjonerem płyt. Mieszkał w regionie Kluż – między 1965 a 1972 rokiem w rumuńskim radiu mógł słuchać muzyki angielskiej i amerykańskiej, a na żywo zespołów z rumuńskiej sceny rockowej. Eklektyzm – tak można streścić jego muzyczne gusta. Wchłaniał w siebie prawie wszystkie gatunki, ale dążył do własnego stylu. Używał magnetofonów szpulowych, nagrywał dźwięki gitar, perkusji, wokalu.

Stopniowo jego domowe studio rosło: magnetofony Tesla, automaty perkusyjne, organy Casio i radzieckie Faemi.

Kraj tymczasem wkraczał w ponury okres. Ceaușescu grzmiał, że kultura powinna się koncentrować na „wartościach narodowych". Zwolennicy reżimu wcielali jego słowo w czyn. Wszędzie można było się spodziewać reżimowych uszu, które donosiły o każdym nieprawowiernym słowie. W kraju, w którym brakowało dostępu do nowoczesnego sprzętu, Rodion musiał zdać się właściwie demiurgiem. „Nie ma głośnika, którego nie potrafiłbym naprawić" – opowiadał. Ludzie mieli go za szaleńca, a szaleńcy tworzą również szalone dzieła. „To ktoś więcej niż muzyk" – pisał Derek Anderson w biogramie artysty załączonym do jednego z kolejnych albumów Rodion G.A. Behind the Curtain – The Lost Album (Za żelazną kurtyną – zaginiony album) – „to wynalazca, filozof, poeta, marzyciel". Na starych taśmach było słychać instrumenty, które sam sklecił, wykorzystując przedmioty codziennego użytku. To miał być jego debiut, ale nagrania przez trzydzieści ponad lat przeleżały na dnie pudła ze starymi papierami.

Od 1975 roku koncertował z własnym zespołem, jeździli po całej Rumunii, grali wszędzie, raz do kotleta, innym razem na festiwalach. Na koncertach zawsze mogli się pojawić cenzorzy i do czegoś przyczepić. Choć zespół Rodiona osiągał sukcesy, to nie mógł nagrywać. W latach osiemdziesiątych drogi muzyków rozeszły się więc bez wydanej płyty. Wydawało się, że po 1989 roku Rodion w końcu będzie miał swobodę tworzenia i nadrobi stracony czas. Tak się jednak nie stało. Muzyk zniknął z życia publicznego. Wcześniej unikał polityki, dzięki temu jakoś przetrwał reżim. Jego matka, Rozalia, straciła dwoje dzieci, nie chciał się więc jako ostatni jedyny syn narażać. Po jej śmierci pod koniec lat osiemdziesiątych zrezygnował z kariery muzycznej, choć był o krok od wejścia na szczyt. Bardzo potem tego żałował. Odnaleziony po ćwierć wieku przez pasjonatów, już jako sześćdziesięciolatek, koncertował, pojawiał się na festiwalach, można odnaleźć nagrania z tych koncertów – na przykład w starym i (jak sądząc po wystroju) katolickim – wiejskim kościółku. Rodion, siwy niepozorny facet w koszulce ze znakiem Batmana, manewruje przy magnetofonie szpulowym śrubokrętem niczym mistyk, konstruktor i kompozytor w jednym. Muzyka płynie w przestrzeń, ludzie w nawach i na podłodze ruszają się w jej rytm, są teraz gdzieś daleko.

Kto wie, czy to nie będzie jeden z ostatnich jego występów, bo zwierzał się w 2018 roku, że lekarze wykryli u niego nowotwór wątroby. W swoim życiu gubił się, odnajdywał, gdy poszedł na cmentarz na grób matki, okazało się, że został z niego okradziony, stał już w jego miejscu inny grób, więc aby do zmarłej przychodzić, musiałby jej postawić nowy nagrobek. Zadedykował jej więc płytę.

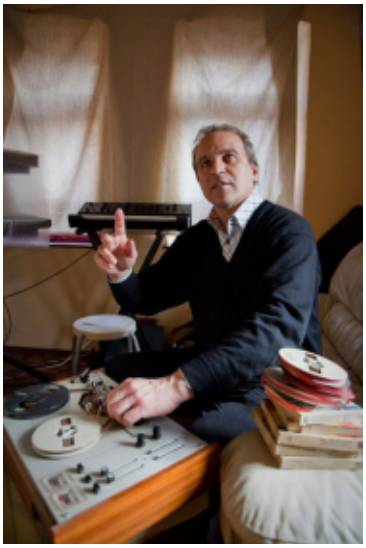

Artur Nowaczewski

real.
real.

Radek Wiśniewski

Pamiętając Hołodomor. Ballada o dzielnym Walijczyku

W roku 1930 Walijczyk Gareth Jones miał 25 lat, skończył studia na Cambridge. Był dobrym studentem, świetnie znał rosyjski, francuski i niemiecki. Mimo tego, że jest Walijczykiem, ma we wspomnieniach opowieści o Rosji i Ukrainie. Jego matka była guwernantką w domu państwa Hughesów, założycieli miasta Juzowka, później Stalino, obecnie Donieck. Ciągnie na wschód. Zostaje doradcą, asystentem do spraw zagranicznych byłego premiera Wielkiej Brytanii Lloyda George'a. W roku 1930 i 1931 wyjeżdża dwukrotnie do Związku Radzieckiego, przy czym za drugim razem podróżował z dziedzicem keczupowej fortuny – Jackiem Heinzem II, wraz z którym pod koniec podróży trafił na Ukrainę. Nie było jeszcze zakazu podróży dla zagranicznych dziennikarzy. W czasie tej drugiej podróży pisał dosyć dokładny dziennik, jak się okazuje dziennik początków katastrofy, który po redakcji opublikował anonimowo pod tytułem „Doświadczenia w Rosji 1931. Dziennik". To w nim po raz pierwszy pojawiają się słowa „głód" w kontekście polityki przymusowej kolektywizacji prowadzonej przez władze sowieckie na Ukrainie.

Gareth Jones chciał ruszyć na Ukrainę już w 1932 roku, jednak po pierwsze był zajęty przez cały rok asystowaniem w spisywaniu wspomnień wojennych swojego patrona, a po drugie dramatyczne wydarzenia w styczniu i lutym 1933 roku Niemczech, gdzie Hitler przejmował właśnie władzę, spowodowały, że musiał nieco zmienić plany. Wyjechał do Niemiec, widział moment zaprzysiężenia Adolfa Hitlera na kanclerza Niemiec, leciał z nim nawet jednym samolotem, przeprowadził z nim wywiad jako jeden z pierwszych dziennikarzy. Wcześniej czytał „Mein Kampf", nie miał najmniejszych złudzeń co do planów Hitlera i istoty zdarzeń, których był świadkiem. Obserwował reakcję tłumów zwykłych, normalnych Niemców na osobę Hitlera i wspominał o poczuciu obcowania z siłą „czystego, prymitywnego kultu". Przewidywał, że w Europie dojdzie niebawem do wojny, przewidywał, że dojdzie do niej – już w 1933 roku! – z powodu zatargu o Gdańsk i tzw. korytarz pomorski, z jednej strony, a z drugiej przewidywał celnie, że w Azji dojdzie do starcia mocarstw w związku z ekspansjonistycznymi zamiarami Japonii. Jednak to, co miało mu przynieść pamięć niewielu, chociaż trwałą, nie miała być jego rola w geopolitycznych przewidywaniach, ale rola świadka dramatycznych wydarzeń już niebawem.

Wielki Głód lat 1931-33 nie był pierwszym, który przetoczył się przez Ukrainę. Wcześniej w latach 1921-23 roku klęska głodu, do której doszło w wyniku

okrutnej wojny domowej i walki o władzę nad dawnym imperium rosyjskim, która na Ukrainie miała wyjątkowo krwawy i tragiczny przebieg, oraz wcześniejszych wydarzeń związanych z fatalnym dla Rosji przebiegiem wojny światowej, zabiła około 1-2 milionów ludzi. Tamta klęska głodu, niezależnie od innych przyczyn, na przykład spadku powierzchni zasiewów o 40%, miała przyczyny naturalne. Bezpośrednią przyczyną była katastrofalna susza z 1921 roku, której skutkom władza radziecka nie umiała i nie chciała zaradzić. Włodzimierz Lenin był tak przejęty masowym głodem, że w marcu 1922 roku w liście do członków Biura politycznego pisał m.in. :

„*właśnie obecny moment jest nadzwyczaj sprzyjający, ale i jedyny, w którym możemy liczyć, co najmniej w 99 procentach na pełny sukces, pobicie nieprzyjaciela na głowę i zapewnienie sobie niezbędnej pozycji na wiele dziesięcioleci. Właśnie teraz i tylko teraz, gdy w głodujących miejscowościach dochodzi do aktów ludożerstwa, na drogach leżą setki, jeśli nie tysiące trupów, możemy i dlatego musimy skonfiskować kosztowności znajdujące się w cerkwiach, wkładając w to najbardziej zaciekłą energię, działając w sposób bezlitosny, nie cofając się przed zdławieniem wszelkiego sprzeciwu*".

Pomoc umierającym z głodu nie znalazła swojego wyrazu w liście Lenina do jego kolegów.

Wielki Głód lat 1931-33, który zaczął się na przełomie pierwszej i drugiej stalinowskiej pięciolatki, był splotem kilku czynników i decyzji, ale w najmniejszym stopniu nie był zjawiskiem naturalnym, niezależnym od działań władzy. Po pierwsze wielkie plany industrializacji ZSRR, który jak wiadomo był krajem klasy robotniczej bez robotników, opierały się na szacunkach dotyczących sprzedaży za granicę płodów rolnych. Akurat zboże ZSRR potrafił produkować, a wielu innych rzeczy, które ktokolwiek za granicą chciałby kupić – nie. Zatem miało być to źródło środków finansowych na zakup licencji i technologii. Szacunki sprzedaży i skupu zboża opierano na kalkulacjach branych z sufitu, które zakładały, że uda się skolektywizować całą produkcję rolną w ramach kołchozów i sowchozów, a tam produkcja naturalnie wzrośnie, a nie spadnie. Tymczasem produkcja w wyniku przymusowej kolektywizacji spadała. Gdy wolni chłopi byli poddani rekwizycjom, konfiskatom, oskarżani o sabotaż i ukrywanie plonów – komunistyczne kolektywne gospodarstwa nie radziły sobie z narzucanymi kontyngentami dostaw. Dla przykładu – w 1930 roku zbiory na Ukrainie wyniosły 6,4 miliona ton zboża, a w planie na rok 1931 przewidywano zbiory na poziomie 7,1 milionów ton, chociaż zbiory były niższe niż w 1930. Ostatecznie plan z roku 1931 wykonano w 91,5% odbierając od rolników 6,5 miliona ton zboża, jak łatwo się domyślić często przeznaczonego na zasiewy w roku kolejnym (kiedy znowu podniesiono poziom zbiorów do realizacji) oraz wyżywienie rodzin jesienią, zimą, wiosną, zanim zbierze się kolejne zbiory. Brak realizacji planu uważano za antyradziecki sabotaż i natychmiast w teren ruszały grupy aktywu partyjnego dla dokonania rekwizycji rzekomo ukrywanych płodów rolnych.

Latem 1932 roku chłopi wolni nie mieli już nic, a jedynymi miejscami, gdzie można było jeszcze znaleźć coś do jedzenia, były pola i gospodarstwa kołchozowe. Ludzie kradli więc stamtąd zboże, żeby wykarmić swoje dzieci.

Władza radziecka odpowiedziała na to dekretem z 7 sierpnia 1932 roku, zwanym „Dekretem pięciu kłosów", bowiem zerwanie takiej liczby kłosów z pola kołchozowego było zagrożone karą od 10 lat łagru do kary śmierci przez rozstrzelanie włącznie, co w wykonaniu władzy radzieckiej często niewiele się od siebie różniło, poza tym, że śmierć przez rostrzelanie przychodziła szybko. W ciągu kolejnego półtora roku na podstawie tego dekretu skazano nie mniej niż 125 tysięcy osób, która to liczba wydaje się mała wobec nieustalonej wciąż liczby umierających z głodu. Z głodu zresztą nie umierała tylko Ukraina – umierał Kubań, Powołoże, Kazachstan. Ale tylko wobec Ukrainy zastosowano najbardziej drakońskie metody wzmagania klęski i jednocześnie bezwzględnego karania ludzi za próby ratowania się od zagłady. Wokół pól kołchozowych ustawiano wyżki z uzbrojonymi strażnikami, ale ludzie, którym udało się ukraść kilka kłosów często umierali od ich spożycia, bo ich organizmy nie były w stanie już przyswajać żadnego pożywienia. Wsie wymierały, latem panowała w nich cisza, o czym wspominają polskie źródła dyplomatyczne i dokumenty polskiego wywiadu. Ludzi żywych często nie odróżniano od martwych i często grzebano jednych i drugich, ale że chowano ludzi bez trumien, często ci żywi nocami wygrzebywali się ze zbiorowych mogił, by przeżyć w głodowych męczarniach jeszcze kilka dni. W kolejnym roku nie było już komu grzebać zmarłych i ludzie leżeli po śmierci tam, gdzie padli.

Ale władza radziecka nie zmieniała ani planów wielkiej industrializacji ani planów eksportu zboża, który miał te plany – m.in. zakup wielu licencji w krajach zgniłego kapitalistycznego zachodu – finansować. Na tym tle doszło jesienią 1932 roku do sporu między władzami w Moskwie a władzami Ukraińskiej SRR, w związku z próbą wywiezienia zboża przeznaczonego na zasiew w 1933 roku z kołchozów, na co lokalne władze nie chciały się zgodzić i 28 listopada 1932 roku Biuro Polityczne KC Komunistycznej Partii Bolszewików Ukrainy zakazało wywozu zboża. Bardzo szybko w Kijowie pojawił się wysłannik samego Stalina, niejaki Łazar Kaganowicz, który doprowadził 20 grudnia do

uchylenia zakazu, a następnie do wydania 24 grudnia 1932 roku dekretu o wywozie w ciągu pięciu dni wszelkich zapasów zboża z rejonów, które nie wywiązały się z nałożonych na nie kontyngentów. To doprowadziło do masowej głodowej migracji, na którą władza radziecka odpowiedziała 27 grudnia akcją wydawania paszportów wewnętrznych na terenie Ukrainy. Nikt bez takiego paszportu nie miał prawa, pod karą łagru, przebywać poza bezpośrednim sąsiedztwem miejsca swojego zamieszkania, czyli w praktyce był przykuty do swojej wsi. To obostrzenie w swobodzie poruszania się trwało na Ukrainie do roku 1974.

Równolegle do rozwoju głodowej maskary w wielu miastach Ukrainy rozwijała się sieć „trogsinów", specjalnych, państwowych sklepów, w których za twarde waluty i złoto można było kupić żywność. W styczniu 1932 roku „trogsiny" były w ośmiu miastach Ukrainy, w przerażającym roku 1933 było ich już łącznie 263. Stalin, jak widać, i jego kadry twórczo rozwinęły myśl leninowską z czasów pierwszego głodu na Ukrainie i tylko dwa „trogsiny" w Charkowie w styczniu i lutym w zamian za żywność skupiły 374 kilogramy złota. Industrializacja zyskiwała kolejne pewne walutowe zaplecze.

Do tak zwanego świata docierały pogłoski o wielkiej tragedii, o głodzie o ludobójczych rozmiarach, ale Kreml te pogłoski dementował, zachodni dziennikarze, w sporej części sympatycy ZSRR, jak Walter Duranty – prototyp i synonim tzw. „pożytecznego idioty" – dementowali wszelkie tego typu doniesienia, jako pozbawione podstaw pogłoski, pisali o Ukrainie pięknej jak ogrody edenu. Polska administracja i dyplomacja milczały, mimo dokładnej wiedzy o rozmiarach tragedii. II R.P. nie chciała zaognienia stosunków z ZSRR, z którym właśnie w 1932 roku zawarto pakt o nieagresji. Uciekinierów głodowych zawracano z granicy, blokowano próby niesienia pomocy głodującej Ukrainie podejmowane tak przez polską mniejszość ukraińską, jak i przez inne wspólnoty. Miliony głodujących ludzi jak gdyby nie istniały. Bo w zasadzie tych ludzi już nie było, mimo że wielu jeszcze żyło.

W marcu 1933 roku Gareth Jones dotarł po raz trzeci do Moskwy. Podróżował tym razem za własne pieniądze, chociaż wykorzystał ponad wszelką wątpliwość swój status doradcy Lloyda Georga i starał się działać maksymalnie dyskretnie. Formalnie wiza była wydana w związku z tym, że chciał zwiedzić budowaną przez niemieckie przedsiębiorstwa fabrykę traktorów (czy może raczej… czołgów) w Charkowie. Lekceważąc zakaz podróży dla zagranicznych dziennikarzy – 7 marca 1933 roku wsiadł w Moskwie do pociągu trzeciej klasy jadącego w kierunku Charkowa, ale wysiadł na przypadkowej stacji kilkadziesiąt kilometrów przed Charkowem. Z plecakiem pełnym żywności wędrował przez kilka dni bez oficjalnej eskorty mijając na swojej drodze dwadzieścia wsi, sowchozów i kołchozów pilnie zapisując wszystko, co widział w swoich notatnikach. Rozmawiał z ludźmi, dzielił się z nimi jedzeniem, spał razem z nimi na klepiskach w chłopskich chatach. W jednej chacie podzielił się z głodującą dziewczynką chlebem i kawałkiem sera, a ta miała odpowiedzieć: „Teraz, kiedy zjadłam tyle wspaniałych rzeczy umrę szczęśliwa". Wszędzie ludzie powtarzali to samo: „czekamy na śmierć". Wsie były ciche. Po kilku dniach został przechwycony przez lokalnego milicjanta, został zmuszony do udania się do deklarowanego celu podróży, czyli Charkowa, gdzie dalej prowadził notatki.

Po powrocie z ZSRR zwołał 30 marca w Berlinie konferencję prasową, na której podzielił się swoją wiedzą, jednak świat miał większe problemy. Jego artykułom w prasie anglosaskiej towarzyszyła

agresywna, sowiecka kontrpropaganda, między innymi ze strony Waltera Duranty'ego, który w którymś z polemicznych tekstów wytykał mu, że kilkudziesięciokilometrowy spacer wzdłuż torów to trochę za mało, żeby zrozumieć tak ogromny kraj jak ZSRR. Tyle, że Duranty, podobnie jak inni użyteczni idioci Kremla bez obstawy i wiedzy władzy radzieckiej nie odbył ani jednego spaceru po Moskwie, nie mówiąc o tym, by trafił do chłopskiej chaty.

Dosyć szybko Gareth Jones zaczął płacić cenę za swoją postawę. Po pierwsze został na niego nałożony dożywotni zakaz wjazdu na terytorium ZSRR. Po drugie odciął się od niego jego protektor Lloyd George. Po trzecie – skończyły się zamówienia na jego artykuły, a był jakby to dzisiaj ująć – freelancerem. Przez kolejne miesiące pracował dla prowincjonalnej gazety „Western Mail", w której zajmował się między innymi reportażami o rzemieślnikach z Walii.

W 1934 roku rękę Garethowi podał kontrowersyjny amerykański magnat prasowy William Hearst, który zaprosił go do USA. Jesienią 1934 roku dzięki wsparciu Hearsta Gareth Jones ruszył na Daleki Wschód. Spędził kilka tygodni w Japonii, a następnie ruszył w kierunku pogranicza Mongolii, Chin i Mandżurii, uznając, że to rejon kluczowy dla tego rejonu świata, w którym zetrą się lada moment potężne siły, o których syty zachód nie ma najwyraźniej wielkiego pojęcia. Znowu zbliżał się do granic obszarów, którymi żywotnie był zainteresowany Stalin i ZSRR. Gareth Jones był jak Ikar – tak o nim mówiono, nie bał się latać blisko słońca. Słońca narodów.

Po drodze z Japonii odwiedził Filipiny, Holenderskie Indie Wschodnie, Hong-Kong, wreszcie dotarł do Pekinu, skąd miał ruszyć do Mongolii Wewnętrznej. Towarzyszem jego dalszej podróży na pogranicze chińsko-mongolskie miał być niemiecki dziennikarz dr Herbert Mueller, według niektórych źródeł członek siatki szpiegowskiej niejakiego Richarda Sorgego, sowieckiego króla szpiegów w Tokio. Według niektórych przypuszczeń – Gareth Jones był na oku

tej siatki od jesieni 1934 roku. Wiadomo, że siatka Sorgego miała też swoje odnogi w Mandżurii i Chinach. Wiadomo, że człowiek, który wynajął Muellerowi i Jonesowi samochód, był rozpoznany jako agent sowieckiego wywiadu. Wiele wskazuje na to, że nie tylko on był agentem. Dosyć szybko Mueller i Jones zostali zatrzymani przez japońskie wojsko, następnie wypuszczeni po dwóch dniach i poinstruowani, że mają się udać do pobliskiego miasta Kałgan, gdzie będą bezpieczni. Po drodze zostali porwani przez nieznanych sprawców, którzy zażądali za uwolnienie obu więźniów 100.000 srebrnych dolarów meksykańskich okupu. Niemiec został zwolniony bez okupu po dwóch dniach i miał zająć się zorganizowaniem zapłaty wymienionej kwoty. Gareth Jones został zamordowany szesnaście dni później – 12 sierpnia 1935 roku, w przeddzień swoich 30 urodzin, a jego zwłoki podrzucono gdzieś przy drodze. Lloyd George miał powiedzieć po jego śmierci: „Pan Gareth Jones po prostu wiedział za dużo".

Być może. A władza radziecka na takie bezeceństwa nie pozwala.

Walter Duranty za swoje reportaże wychwalające budowę socjalizmu w ZSRR otrzymał w roku 1932 Nagrodę Pulitzera.

Szacunki dotyczące liczby ofiar śmiertelnych Wielkiego Głodu w ZSRR w latach 1932-33 wahają się od 4 do 12 milionów, z czego od 3 do 10 milionów przypisuje się Ukrainie.

Hołodomor za zbrodnię przeciwko ludzkości oraz zbrodnię ludobójstwa do dzisiaj uznało 26 krajów świata, w tym Polska.

Do dzisiaj Gareth Jones nie ma pomnika, ulicy. Nie ukazała się po polsku żadna z jego biografii. Nie napisał też jego biografii nikt z polskich ani ukraińskich autorów.

Notatniki Garetha Jonesa są eksponowane od 2009 roku w Cambridge obok najcenniejszych skarbów jego macierzystej uczelni.

Radosław Wiśniewski

Przemek Rojek
Hołodomor, którego nie było
Świadek, którego nie spotkał
Gareth Jones

Olga Rewa przyszła na świat w 1925 roku we wsi Piatichatki – czyli w jednym z tych miejsc, gdzie ongiś rodziła się ukraińskość: niedaleko stąd dwieście siedemdziesiąt dziewięć lat wcześniej dowodzona przez bat'kę Chmiela brać zaporoska i sprzymierzeni z nią Tatarzy spuszczali nad Żółtymi Wodami pierwszy łomot Lachom, zaczynało się powstanie Chmielnickiego. Swoją ojczyznę Olga musiała opuścić jeszcze jako nastolatka: nie wiem dokładnie kiedy, ale zapewne (dedukując wedle tego, jak przesuwały się fronty wielkiej wojny ojczyźnianej) nie wcześniej niż jesienią 1941 roku Niemcy wywożą Olgę na roboty przymusowe w głąb Rzeszy – trafia do prowadzonego przez zakonnice majątku ziemskiego w Deggendorfie. Tam poznaje Polaka, Władysława, również przymusowego robotnika – i rodzi się miłość. Po wojnie wraz z Władysławem, już mężem, i z pierworodnym synem przyjeżdża do Polski (na marginesie – przyczynek do tego, jak przypadkowo zostaje się Polakiem, Rosjaninem, albo i Amerykaninem: jedna z klechd domowych powtarzanych w rodzinie Olgi i Władysława opowiada o tym, że małżonkowie byli już spakowani i zamierzali skorzystać z tego, że Deggendorf znalazł się w części Niemiec wyzwalanej przez armię amerykańską; w ostatniej chwili Władysław dostał list z rodzinnej

wsi, że wszyscy żyją i mają się dobrze, więc podarł papiery uprawniające do wyjazdu na zachód i w miejscu zawrócił furmankę ku Polsce...). W kraju swego męża Olga przeżyła ponad cztery dekady, urodziła jeszcze czwórkę dzieci, doczekała się dziewiątki wnuków, zmarła (jak to się mówi: po długiej i ciężkiej chorobie) w 1989 roku, w wielkim czasie upadania starego porządku, w połowie drogi między wyborami czerwcowymi a zburzeniem muru berlińskiego. Do rodziny w Związku Radzieckim pojechała tylko raz i też jeden raz tylko oni wpadli z rewizytą, choć korespondowali ze sobą regularnie.

Do wspomnień wojennych – a zwłaszcza przedwojennych – Olga wracała rzadko i wybiórczo. Jeden z jej wnuków, który dzielił z nią dom i nad którego wychowywaniem codziennie się mozoliła, zapamiętał babcię siedzącą na niskim stołeczku przed piecem kuchennym, wypalającą połówkę klubowego i opowiadającą a to o zupie gotowanej w Deggendorfie z liści buraczanych, a to o samych burakach, surowych, zjadanych podczas podróży do Polski, a to o stopie przebitej na wylot widłami w czasie niewolniczych prac w majątku... najczęściej jednak powracał obraz siedzących na czołgach i żujących gumę czarnoskórych amerykańskich żołnierzy (pewnie takich jak ten, którego można zobaczyć na dołączonym do tego wpisu zdjęciu – jednym z nielicznych, jakie Olga i jej mąż przywieźli z Niemiec; na odwrocie odręczna adnotacja „Sylwester 1946", ale to prawie na pewno błąd, chodzi raczej o noc sylwestrową 1945/1946). Czasem te wspomnienia wyrażały się w tym, co somatyczne: na przykład krojąc na świąteczne obiady całe góry makaronu (widok tylko dla ludzi o mocnych nerwach: opuszki lewej dłoni na samym końcu pasów ciasta, w prawej ręce ogromny nóż poruszający się w tempie i rytmie automatycznej krajalnicy, odcinający idealnie równe, wąziutkie nitki; wszystko oczywiście bez patrzenia, bo wzrok musiał kontrolować garnki, rondle i patelnie dziarsko podskakujące wraz z zawartością na rozgrzanej kuchennej blasze) Olga, odsłaniając w swoim zaraźliwym śmiechu srebrne zęby, opowiadała o tym, ile to musiała się tego makaronu naszatkować w czasie wojny, by odpowiednio wysuszony mógł służyć jako część prowiantu słanego armii hitlerowskiej pożeranej przez nienasyconą czeluść frontu wschodniego. Ale tak, była też przedwojenna Ukraina – czy też Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka: kiedy czytał wnukowi „W pustyni i w puszczy" i docierała do momentu, gdy Nel zapadała na febrę, opowiadała, że ona też na to chorowała i że leczono ją przez oblewanie kubłami lodowato zimnej wody. A kiedy w sklepie rzucili akurat arbuzy, obowiązkowo musiał powrócić obraz tego, że w jej domu rodzinnym te owoce jadło się po prostu na kolację, rozłożone na kromkach chleba. No i oczywiście z dumą wracała też – brzdąkając jedną jedyną melodię na nigdy niestrojonej gitarze – do tego, jak to w dzieciństwie była tak śniada, że dorabiała sobie występując z wędrownymi Cyganami, a jej popisowym numerem było robienie mostka i podnoszenie ustami pieniędzy rzucanych przez gawiedź (to prawda, że ślady wielkiej urody Olga zachowała do końca życia – zwłaszcza mocne i gęste włosy, które dopiero nowotwór-zabójca oprószył siwizną).

Ten wnuk, którym tak intensywnie musiała się opiekować, dopiero jako dorastający człowiek zrozumiał, ilu ważnych pytań jej nie zadał – nie ze swojej winy: rok śmierci jego babci, rok 1989, rok końca ściemnianej historii Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej połączonej wieczystym bratnim sojuszem z nieskalanym Związkiem Radzieckim, zastał go jako jedenastoletniego gówniarza, który przecież nie mógł choćby wyczuwać diabelskiej ironii tego, że w 1940 roku – czyli wtedy, gdy czternastoletnia Olga żyła jeszcze w Piatichatkach – w lesie w innej wsi o tej samej nazwie, odległej o niespełna czterysta kilometrów, grzebano niemal cztery tysiące polskich oficerów, jeńców obozu starobielskiego zabitych strzałem w tył głowy w kazamatach więzienia NKWD w Charkowie. A gdyby to były te same Piatichatki? Czy Olga coś by wiedziała? Słyszała coś? Może ktoś ze wsi, jakiś sąsiad, który za interesami wybrałby się do miasta i zabawił tam odrobinę za długo, przyuważyłby pewnej nocy ciężarówki zajeżdżające na miejsce pochówku i coś gdzieś komuś w najgłębszej konfidencji powiedział? Mało

prawdopodobne: ludzie z tamtych miejsc i czasów nauczyli się milczeć słowem, myślą i uczynkiem jak nikt inny – ale może jednak?...

Najgorszy jest jednak Hołodomor. Wiele lat po śmierci Olgi (niewykluczone, że był to rok 2012 lub 2013, osiemdziesiąta rocznica głodowego sowieckiego ludobójstwa) jej wnuk obejrzał dość przygodną wystawę fotografii z lat Wielkiego Głodu. Nie mógł oderwać wzroku od gruboziarnistego zdjęcia zaszczutych, zwierzęcych twarzyczek kilkuletnich dzieci przyłapanych na kanibalizmie, zerkających spod sterty jakichś desek ogromnymi, bezrozumnymi, czarnymi oczami (jakaż perwersyjna, bezbrzeżnie okrutna parodia srogiego spojrzenia świętych z ikony!); pogrążony w stuporze wpatrywał się w ulice Charkowa, gdzie spoza sylwetek przechodniów, rozmytych przez zbyt długi czas naświetlania kliszy, wyzierają zwłoki zalegające na chodnikach, skwerach, pod płotami – beznadziejnie niepotrzebne, bezzwrotnie przypadkowe, skazane wyrokiem powszedniej zgrozy i pospólnego głodowego otępienia na banalność i przezroczystość. I to straszliwe natręctwo myśli: jak żyła wówczas rodzina Rewa? Przecież Olga była wtedy w wieku tych dzieciaków, które żuły ludzkie mięso, bo tak kazały im, omijając powierzchniowe pokłady woli i moralności, najbardziej pierwotne części mózgu; czy gdyby dopiero co przybyły z Moskwy Gareth Jones peregrynował nie po północnej, a po południowej stronie Charkowa – czy mogliby się spotkać? Czy to ona mogłaby być tamtą umierającą dziewczynką, z którą walijski dziennikarz podzielił się jedzeniem – cudownie jednak ocaloną? Jak pogodzić bezruch martwych charkowian z dziką radością cygańskich śpiewów i tańców, jak zapełnić piekącą pustkę żołądka wspominaniem plastrów arbuza (czasem podobno kiszonego na zimę) na pajdach chleba?

Pytania, które na zawsze już – przynajmniej na tym świecie – pozostaną bez odpowiedzi. I to najważniejsze: czemu babcia milczała? Chciała oszczędzić wnuka? Zapomniała? W końcu tyle się w jej życiu (będącym prawie do końca esencją domowej, gospodarskiej krzątaniny) wydarzyło, że mogło to przysypać wspomnienia najwcześniejszego dzieciństwa. Wyparła? Wyuczyła się tej niemożliwej sztuki doskonałego milczenia kogoś, kto dorastał w czasach panowania Józefa Wissarionowicza? W sumie chyba akceptowała socjalistyczną rzeczywistość w sposób odrobinę bezrefleksyjny, może nawet naznaczony szczyptą wschodniego fatalizmu; po chłopsku żarliwie wierzyła w Pana Boga i księdza, ale też ufała temu, co w gazetach (także w otrzymywanych sporadycznie od pierwszego we wsi komunisty starych numerach sowieckiej „Prawdy") i w dzienniku telewizyjnym, Związek Radziecki przedkładała nad Stany Zjednoczone, a Wałęsy i Solidarności zdecydowanie nie lubiła – ale też władzy bardzo się bała, więc może to ten odrobinę za wyraźny, wdrukowywany od niemowlęctwa strach (objawiający się we wzmiankach o tym, jak to w pierwszych latach życia w wielkiej tajemnicy prowadzono ją do cerkwi, a ikony chowano w domu pod materacami na łóżkach) nauczył ją milczeć, zapominać, wypierać?

Olga Rewa po mężu nazywała się Rojek, a ten jej wnuk, o którym tylekroć tu wspominam, ma na imię Przemysław i właśnie kończy pisanie.

Po milczeniu babci Oli odziedziczyłem jedynie ślinotok łakomstwa, jaki odczuwam na sam widok rozkrojonego arbuza.

Przemek Rojek

Radek Wiśniewski
Jak co roku nie wiem, co powiedzieć

Możesz całe życie być sklepikarzem, sprzedawcą, nauczycielem, sprzątaczką, opiekunką w żłobku, kowalem. Przychodzi moment i stajesz się kimś innym, pozostając zarazem sobą. Otwierasz drzwi Żydówce, idziesz w zawalisko kopalniane pełne metanu. Na przykład. Nie musisz. Robisz coś, za co naprawdę mogą cię uszkodzić, czasem z pewnością, że ciebie uszkodzą. Albo już uszkodzili.

Jak strzelec Bułat, któremu na przedpolu wzgórza zwanego „Widmo" mina urwała stopę, więc powiedział tylko „koledzy robię wam drogę" i rzucił się na pole minowe.

Nie trafiłem przez kilka lat studiów psychologicznych na ciekawe, odkrywcze opracowania na temat odwagi. Myślę jednak często o odwadze i o odważnych ludziach. Zastanawiam się co powoduje, że się wstaje, występuje przed szereg, albo po prostu nie ustępuje. I się mówi "No pasaranv i inne takie.

I dlatego nie lubię, kiedy ktoś mówi do mnie o odwadze, bo mam poczucie, że przez całe życie w zasadzie nic odważnego nie zrobiłem. Bo odwaga zaczyna się tam, gdzie naprawdę mogą ci zrobić krzywdę. Krzywdę. Nie to, że nie dadzą ci awansu, nagrody, podwyżki, premii. Także nie miałem okazji.

Z tych wszystkich rozważań wychodzi mi kilka chybotliwych hipotez, które, gdybym miał szansę, chętnie bym ubrał w język psychologii, próbował jakoś zbadać, zająć się tym, bo od studiów mam poczucie, że moja psychologia jednak w przeważającej mierze się babrze. Tak. Od czasownika „babrać". Niby niegroźne, ale jakieś niepoważne. Wybaczcie mi koledzy i koleżanki po fachu, ale czy nie niepokoi was fakt, że nadal nie wiemy co powoduje, jaka jest natura tego, że 37% osób w eksperymencie Milgrama mówiło „nie!" na prośbę eksperymentatora aby kopnąć prądem badanego? Czy w świecie, który rośnie wokół nas odpowiedź na to pytanie nie jest istotna?

To zdaje się rozumie sędziwy profesor Zimbardo prowadząc Hero Imagination Project, pisał o tym profesor Doliński w posłowiu do książki opisującej

replikację eksperymentu Milgrama w warunkach polskich w roku 2015.

Pisałem magisterkę pod tytułem „O obecności mitycznej postaci wojownika w doświadczeniach rozwojowych człowieka". Myślałem, napiszę, zdam, zostawię. Ale im dłużej żyję, tym bardziej chciałbym wrócić to tego mojego wojownika, na którym moja przygoda z psychologią w zasadzie się zamknęła – po dwóch oblanych i jednej zdanej obronie tej samej pracy. Wtedy myślałem, że zrobię doktorat o chorobach psychosomatycznych, a ściślej – będę próbował się zmierzyć z osobowością astmatyczną. Wiecie, tak jak wyznaczono korelaty osobowości A sprzyjającej chorobom serca i osobowości C współwystępującej z nowotworami – chciałem znaleźć osobowość X, zespół cech współwystępujący z chorobami układu oddechowego, w tym z astmą. Hipoteza? Tak, miałem hipotezę – zaburzenie poczucia bezpieczeństwa, lęk.

Było, minęło. Oblałem magisterkę, wyjechałem z Krakowa, robiłem różne rzeczy od pięciu lat sprzedaję kable i niewiele zapowiada radykalną zmianę. Ktoś inny będzie musiał to zrobić za mnie. Jeżeli jednak miałbym, chciałbym się czymś zająć na serio to odwaga i heroizm. Wydaje mi się, że jest to potrzebne. Co sprawia, że któregoś dnia stajesz sam przeciwko wszystkim, co daje ci siłę, żeby trwać, dlaczego uznajesz, że to Twoja sprawa?

Tak, zawsze w tle jest bezimienny On, Tankman, o którym od 30 lat nic nie wiadomo. Podobno miał 19 lat i nazywał się Wang Weilin, ale nie ma na to żadnych dowodów. To tylko domysły. Podobno żyje, podobno został rozstrzelany, podobno został aresztowany, podobno uciekł na Tajwan. Podobno 49% Chińczyków gdy im pokazać to zdjęcie nie rozpoznaje sytuacji, kontekstu i nie wie o co biega.

Tymczasem 5 czerwca rano Tankman szedł jeszcze spokojnie po lewej stronie ulicy. Niósł dwie siatki. Zastąpił drogę kolumnie czołgów jakby mimochodem, jakby decyzje podjął w ostatniej chwili. Zatrzymał czołgi na chwilę. Potem ruszyły znowu.

Mam niejasne przeczucie, że nie zatrzymały się do tej pory.

Radek Wiśniewski

Mam niejasne przeczucie, że nie zatrzymały się do tej pory

Jakub Sajkowski

Mosty z jedwabiu, tamy z jedwabiu

Miasto Zhaoqing, południowe Chiny. Zegar, który odmierza „Główne wartości socjalizmu". Mała wskazówka wskazuje na „cywilizację/kulturę", duża wskazówka na „harmonię", skłaniając się lekko ku „wolności".

Napiszcie, że miłość to ciepła wanna
z eterycznymi olejkami (…).

Nie piszcie o uratowanych rannych,
o odbitym Łysyczańsku, o flakach z krwią,
nie, lepiej piszcie o olejkach

jeśli dacie radę, bo ja nie.

(Pawło Korobczuk)

Ten wpis odnosi się do zdarzenia sprzed dobrych paru dni. Piszę o tym teraz, trochę przez brak czasu, a trochę celowo, bo chciałbym o tym napisać w oderwaniu od bieżączki i doraźnych emocji. Są takie sytuacje, że jest impreza radosna, ponad podziałami, i też się z niej cieszysz, odczuwasz z niej dumę, a jednocześnie wiesz podskórnie, że jest ona okupiona samotnością tych, którzy w tej imprezie nigdy nie wezmą udziału, nikt o ich ból się nie upomni. Winni tej samotności może i są, ale nie ma na nich żadnego wpływu. Możesz jedynie o tym napisać.

Ale po kolei.

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy poprosiła ambasady wszystkich krajów do wystawienia przedmiotów na aukcję. Znakomicie w tym wszystkim odnalazła się Ambasada Chin, która wystawiła piękny obraz tkany jedwabnymi nićmi. Ambasada Chin jest przedstawicielstwem państwa chińskiego w Polsce. Ale jest też przedstawicielstwem Chińczyków w ogóle. Więc Chińczycy grają z nami. Chińczycy dorzucają się do rekordowej puli. Orkiestra gra do końca świata i dookoła świata. Bez wyjątków. Idea ambitna, idea piękna. Tak piękna i ambitna, że niewykonalna.

Żyjemy w tak skurwysyńskim świecie, że zawsze będą wyjątki od „jednoczenia". Liczne wyjątki. I nie mówię o tych, co nie chcą się zjednoczyć. A o tych, co nie mogą. Po prostu nie mogą.

W poście o prezencie Chin przeważają komentarze entuzjastyczne, ale nie tylko. Są też takie:

„#FreeTibet". „Nie przeszkadza Panu, że autorytarne Chiny nieustannie łamią prawa człowieka?". „Słyszał Pan może o chińskich obozach koncentracyjnych dla Ujgurów?".

Nie zgadzam się na to, aby rozmowa o Chinach polegała na wyliczeniu zbrodni. Ambasador reprezentuje system, ale reprezentuje też kulturę chińską, reprezentuje zwykłych ludzi. To nie jest też temat na mema do batożenia Owsiaka.

Wiem jednak, że nie taka była intencja wielu komentujących. Bo co zrobić z samotnością ofiar? Jednym ze sposobów – i w zasadzie prawie jedynym dostępnym – jest pisanie o nich.

***

W każdym razie, jak mówiłem, Państwo Środka to nie jest temat na mema. No, chyba, że osławiony „Chinglish". Ale tak poza tym, to wrażenie, jakie ten kraj wywołuje jest ogromne i jest skomplikowane. Przynajmniej na mnie. Pamiętam wiele wzruszających momentów. Ten moment, kiedy w jednej z grup na święta Bożego Narodzenia dostałem wiadomości od każdego studenta, głównie po angielsku, ale czasem po polsku. I były one często przemiłe i cudownie bezpośrednie. Ten moment, kiedy studentka, która dowiedziała się, że nie mamy już zajęć w przyszłym semestrze, przyszła sprezentować mi mój portret namalowany przez nią, a potem spytała, czy nie może się przytulić. Ten moment, kiedy inna studentka na pożegnanie znalazła wiersz mojego ulubionego, chińskiego poety, który na polski tłumaczy się:

Wiem
Że jesteś gdzieś tam
Oddychasz, śmiejesz się
Łamiesz fale uderzające o brzeg
Na tysiące płatków słońca.

Ten moment, kiedy grupa studentów nauczyła się śpiewać po polsku „Odę do radości", gdzie wszakże jest wers „wszyscy ludzie będą braćmi". Ten moment, kiedy student przynosi mi śliwki „z rodzinnego domu, których nie ma nigdzie indziej w Chinach". Ten moment, kiedy inny student (ten od napisanego przeze mnie wiersza „Przyjaciel") odzywa się ni stąd ni z owąd, kiedy jestem już w Polsce, ja odpowiadam wiadomością głosową, a on pisze „jak miło usłyszeć twój głos, przyjacielu". I jeszcze wiele innych.

No więc ambasador Chin, który – bardzo to możliwe – sam jest fajnym człowiekiem, jest również dla mnie „ambasadorem" tych pięknych momentów i pięknych ludzi. Aż chciałoby się zaproponować coś takiego: Chiny dają obraz tkany jedwabiem, a na Akademii Sztuk Przepięknych odbywa się prelekcja o Tybecie.

Tyle że to nie nastąpi. Tybet czy Ujgurowie to dla Partii Komunistycznej dogmat. A jeśli dla Partii, to i dla ambasadora. Który jest być może prywatnie fajnym człowiekiem, ale jest też trybikiem w machinie. Zrobisz jakikolwiek event gdzie nagłośnisz sprawę Tybetu, Ujgurów, Hongkongu (ba, nawet nie musi być „event", może być wpis na twitterze) – i już nie ma mowy o żadnych zjednoczeniowych akcjach z Chinami.

Zważywszy, że 99 proc staje po stronie „dużego", który ma władzę i wpływy, samotność ofiar staje się tym bardziej dojmująca.

Mam w sobie skrajność emocji, gdy myślę o tym miejscu. Pewnie wpływa ona na wrażenie, które nadal we mnie pozostaje, na to, że to miejsce nadal nie daje mi spokoju. Bo Chiny to wielki kraj. Wielki kulturą, tradycjami, pięknymi ludźmi, których tam spotkałem. A jednocześnie jest to kraj, który swoją wielkość podkreśla bezwzględnością i tyranią wobec słabszych. Po co, skoro i tak jest wielki? Ze względu na ludzką chciwość? Strach? Megalomanię? Być może. Fakt, że podkreśla, i próbuje zagarnąć całą przestrzeń. Tej, która zostaje dla Tybetu czy Xinjiangu nie starcza nie tyle na głos, co nawet na oddech.

Jurek Owsiak nie musi w tym wszystkim stać na pierwszej linii frontu. Zrobił już dla „zjednoczenia" tyle, że byłoby skrajnym nietaktem go pouczać.

Ale, proszę, nie pouczajmy również i nie oceniajmy tych, co empatyzują z ofiarami że „plują jadem", że „robią politykę". Nie „robią polityki", tylko mówią o tym, że „polityka" włazi komuś w jego życie. Brutalnie, bezwzględnie, nie licząc się z ofiarami.

Chiny nie są „jedyne", „najgorsze". O ile byłoby prościej mieć kraje „najlepsze" i „najgorsze", a nie świat, który jest ogólnie skurwysyński, tylko różni się natężeniem. Ale Chiny to tylko przykład. Podstaw za nich Kurdów i Ambasadę Turecką. Będzie to również „akcja zjednoczeniowa" – z jednym narodem. Stawiająca tamę nie do przejścia dla innego.

lepiej piszcie o olejkach

jeśli dacie radę, bo ja nie.

I ja chciałbym w tym miejscu podziękować tym, którzy nie dają rady pisać o olejkach.

Jakub Sajkowski

I ja chciałbym w tym miejscu podziękować tym, którzy nie dają rady pisać o olejkach.

Janusz Radwański

Jeszcze się uśmiechniecie

Odkąd usłyszałem o Xu Xiaodongu, miałem nadzieję, że ktoś w końcu spuści mu łomot. Całym sercem kibicowałem wszystkim jego przeciwnikom, mistrzom kung fu i tai chi, stającym do walki z krępym fighterem o ksywie Wściekły Pies, pionierem MMA w Chinach. Niestety, wszystkie walki wyglądały mniej więcej tak samo. Naprzeciwko noszącego tradycyjny strój i przybierającego malowniczą pozę mistrza stawał ubrany w gatki do walk w klatce Xu, a po minucie-dwóch mistrz leżał zakrwawiony, sędziowie ratowali go przed knock outem, był wyrzucany z maty. A przecież powinno być na odwrót, przecież w starciu filozofii i siły, prawdy i pustosłowia powinni wygrywać nasi.
A przegrywali, jak mi się początkowo wydawało. Później okazało się, że to rzeczywiście pojedynek różnych systemów wartości, ale zupełnie innych, niż się zdaje i z rezultatem niewidocznym na pierwszy rzut oka .

Xu Xiaodong zaczął bić mistrzów dawnych sztuk walk, bo znalazł się w sytuacji, która może nam się wydawać dziwnie znajoma. Nabrał podejrzeń co do elementów rzeczywistości traktowanych jako oczywiste, wobec dogmatów niepodważalnych i przyjmowanych od pokoleń. Nabrał nieufności do gestów i rytuałów, widząc, że, tracąc swój pierwotny kontekst, straciły znaczenie, przestały być tym, czym były, a stały się jedynie wydmuszką, ścianką z kartongipsu, za którą, zamiast prawdy, kryje się tylko nagromadzony latami kurz.

Xu, zamiast przyjąć zapewnienia starszych, ważniejszych i mądrzejszych, powiedział: sprawdzam. Pech a może szczęście sprawiły, że sztuka, którą uprawia, pozwala zweryfikować dogmaty w prosty sposób. To, czy sztuka walki nadal jest sztuką walki, można sprawdzić, walcząc.

Walki Xu z mistrzami kung fu i tai chi miały, w jego zamierzeniu, pokazać, że ćwiczenie dawnych technik w oderwaniu od ich pierwotnych funkcji, trzymanie się utartych schematów i zamknięcie na zmiany nie służy ich sztuce. Że mistrzowie każący swoim uczniom wierzyć, że są w posiadaniu wiedzy i umiejętności niedostępnych dla zwykłych śmiertelników, zwyczajnie ich okłamują. Mówisz, że umiesz walczyć? To walczmy – rzucał wyzwanie Xiaodong. I tak zaczął swoją krucjatę, której ofiarami padali wierzący do końca w swoje umiejętności mistrzowie wushu.

I byłaby to ciekawostka z dziwnego świata sztuk i sportów walki, przyczynek do odwiecznych debat między trenującymi różne style, migawka w wiadomościach, gdyby nie to, że Xu Xiaodong, zupełnie niezamierzenie, zaatakował coś o wiele większego i groźniejszego niż mistrz tai chi.

Czasy, gdy sztuki walki były elementem wstecznej kultury imperialistycznej i zagrożeniem dla partii,

minęły w Chinach bezpowrotnie. Współczesne władze widzą w nich dzisiaj ważny element chińskiej soft power. Dlaczego Chiny mają kojarzyć się z łamaniem praw człowieka? Niech kojarzą się z czymś pozytywnym i atrakcyjnym, jak mnisi z klasztoru Shaolin zaprzeczający prawom biomechaniki i fizyki. Niech zachodnie wyszukiwarki po wpisaniu frazy Chinese podpowiadają raczej „martial arts" niż „occupation of Tibet".

Ale żeby tak to działało, ludzie muszą otrzymywać jednoznaczny obraz wushu jako sztuk nieomal tajemnych, a przy tym skutecznych, dających adeptom nadludzkie prawie możliwości. A budowaniu takiego obrazu nie służy zdecydowanie uprawiający tajski boks i trenujący na zachodnią modłę Wściekły Pies kompromitujący kolejno jednego po drugim mistrza kung fu. To, co robi, to zamach na narodowe wartości, Xu pluje na dziedzictwo przodków, podkopuje państwo, szarga, obraża, narusza, uraża, szkaluje.

Wściekły Pies krzyknął, że cesarz jest nagi, ale tu się jakiekolwiek bajkowe zbieżności kończą. Ręka podniesiona na kulturę i dziedzictwo narodowe musiała zostać odrąbana. Zarówno on, jak i jego rodzina zaczęli dostawać pogróżki. Zabroniono mu organizowania walk, co dla pioniera i promotora MMA w Chinach było dotkliwym ciosem. Ale, jak się okazało, nie dość dotkliwym. W walce z Xu władze sięgnęły po nową broń: system zaufania społecznego. Docelowo ma on w Chinach objąć wszystkich obywateli. Za dobre wynagradza, a za złe – karze. Obywatel, który segreguje śmieci i płaci rachunki w terminie, dostaje punkty. Ten, któremu wlepiają mandaty, marnuje czas, zadaje się z nieodpowiednimi ludźmi – traci je. Ten, który ma dużo punktów, zyskuje przywileje, temu który ma ich mało stawia się bariery. Nie kupi biletu na samolot ani szybką kolej, nie zamieszka w drogim hotelu, nie pójdzie na studia, nie dostanie karty kredytowej. Za bycie lepszym niż uznani mistrzowie sztuk walki Xu Xiaodong spadł do najniższej kategorii obywateli.

Ale czy rzeczywiście lepszym? W końcu doszło do walki, której Wściekły Pies nie wygrał. W 2018 roku naprzeciwko siebie stanęli: Xu Xiaodong i Ding Hao – mistrz kung fu wing chun. Xu miał przewagę od pierwszych chwil starcia. W ciągu pierwszej rundy posłał zupełnie bezradnego przeciwnika na deski kilkakrotnie. Sędzia ogłosił remis. Sędzia też jest w systemie zaufania społecznego, a to sprawia, że widzi się więcej, głębiej i dalej niż mata, na której właśnie kończy się walka.

Możecie znaleźć w sieci nagranie tego pojedynku. Popatrzcie na uśmiech Wściekłego Psa, gdy sędzia podnosi jego rękę po tym, jak podniósł w górę dłoń jego przeciwnika. Możliwe, że uśmiechaliście się kiedyś tym samym uśmiechem, możliwe, że jeszcze się uśmiechniecie.

Janusz Radwański
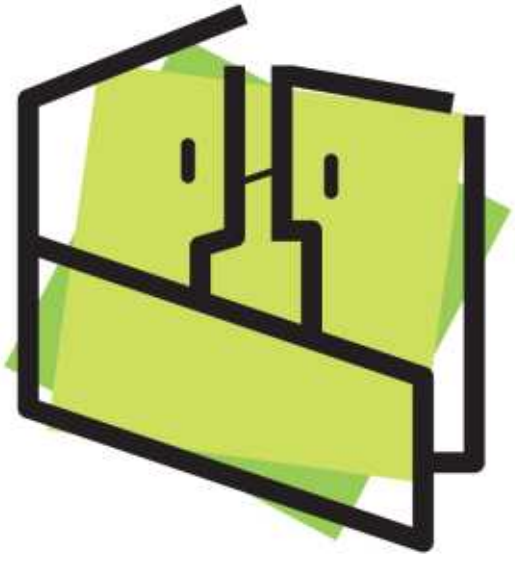
Możliwe, że uśmiechaliście się kiedyś tym samym uśmiechem, możliwe, że jeszcze się uśmiechniecie.